Cena 15 zł.

CZYTELNIK

ODRODZENIE

TYGODNIK

W numerze:
W. Kubacki
Wobec krajobrazu
*
K. Wyka
Obrona van Meegerena
*

Rok IV Warszawa, dnia 18 maja 1947 r. Nr 20 (129)

FRANCISZEK HALAS

W obozie

W obozie wysiedlonych
zimno jest źle i smutno
w obozie wysiedlonych
rozpacze

matka na synka patrzy cichutko
z głodu jej synek płacze

Dla matki nie istnieje nicość
nic nie zaginie, nic nie runie
po brzuchu tylko dłoń przesunie
I tak jak dawniej będzie wszystko

W obozie wysiedlonych
synek się urodził
w obozie wysiedlonych
z pieluszek chorągiew

ludu biednego wieczna nadzieja
ponad nieszczęściem niech wieje wieje

przełożył Jerzy Zagórski

Pożegnanie

Wyrwać słowa z korzeniami
teraz właśnie teraz
kiedy na stopach mam pełno kraju
pełno pieluszek, pełno śmiertelnych koszul
mojego kraju mojego kraju
ojczyzny mojej i moich towarzyszy

Jakby nagle umarli
podobnie jak gdy opuścisz skrzypce na ziemię
właśnie tak liśćmi gałęźmi
brzmi odejście brzmi

Huczy puszczyk huczy
ma jawor duszę wyjawioną
gdzie się ci chłopcy, gdzie się pobiorą
z jaworu duszą wyjawioną
Huczy puszczyk huczy

Jak kropla słońca
w łupince winnego grona
taka była ojczyzna
ojczyzna moja i towarzyszy

Z wnętrzności słów wróżyliśmy los
a poznanie surowe ściekało nam z czół
aż na serce na różę mowy

Cześć sztandarom

Cześć sztandarom

przełożył Jerzy Lovell

NA PRZYJAZD PISARZY CZESKICH I SŁOWACKICH

W dniu dzisiejszym witamy w Polsce przedstawicieli literatury czeskiej i słowackiej. Sześciu najwybitniejszych pisarzy odrodzonej Czechosłowacji przybywa do nas po raz pierwszy w odwiedziny, aby zapoznawszy się z naszym krajem snuć dalej to serdeczne porozumienie, jakie zadzierzgnęliśmy pół roku temu w czasie naszej gościny w Czechosłowacji.

Zaproszeni przez rząd czechosłowacki zwiedziliśmy jesienią ubiegłego roku Czechy, Morawy i Słowację. Czescy i słowaccy koledzy otwarli wtedy na nasze przyjęcie nie tylko reprezentacyjne pałace, ale i łamy swoich czasopism. Napisano wtedy o naszym kraju i jego piśmiennictwie więcej niż w ciągu dwu powojennych lat.

Dzisiaj my mamy sposobność uścisnąć dłonie przyjaciół z Pragi i Bratysławy. Radość nasza jest tym większa, że nie przyćmiewa jej już żaden cień, nie gasi żadna niesnaska. Porozumienie między Polską i Czechosłowacją, które wtedy było tylko usilnym pragnieniem i nas i naszych sąsiadów, dzisiaj jest faktem trwałym i ostatecznym. Nam, ludziom pióra, należy teraz rozwijać współpracę kulturalną, wzmagać wymianę myśli twórczych, obdarowywać się wzajemnie tym, co w życiu duchowym narodów jest najcenniejsze i najżywotniejsze.

W ciągu półrocza, które minęło od naszej wizyty w Pradze, pióra pisarzy i dziennikarzy dokonały wiele dla przyjaźni i bliższego poznania się Polaków, Czechów i Słowaków. W Pradze ukazały się w przekładzie pierwsze powojenne utwory naszych prozaików i poetów. Odsłoniły one naszym przyjaciołom obraz walk wrześniowych i bojów podziemnych; uwydatniwszy w przenośni artystycznej naszą wolę oporu, te przełożone utwory pozwoliły Czechom poznać postawę moralną Polaków w czasie wojny.

Zapewne nie jest to poznanie doskonałe, jak niedoskonałymi są dzieła pisarzy, którzy podjęli temat ostatniej naszej walki o wolność. Ale wyobrażenie nasze o postawie moralnej Czechów w okresie wojny nie jest zgodne z rzeczywistością nawet w tak niedostatecznym stopniu. Nie znaliśmy do niedawna ani dokumentów czeskiego ruchu oporu, ani dzieł literackich z ducha oporu poczętych. Dopiero wystawa czechosłowacka, którą pokazano w głównych miastach Polski, naocznie przekonała zwiedzających o dramacie czeskim czasu ostatniej wojny. Dramat ten mniej krwawy niż nasz, był bolesny moralnie. Czechom broń z ręki wytrąciła zdrada sprzymierzeńców. Ostatnia noc przed okupacją, noc, w czasie której ważyły się losy Czechosłowacji, tragiczna noc, kiedy załamał się nie duch, lecz wszelka nadzieja zbrojnego oporu — to było ciężkie doświadczenie moralne, do którego wracają badawczą myślą pisarze i poeci. „Klejnotem herbowym ojczyzny“ nazywa Franciszek Halas, najwybitniejszy poeta czeski, w wierszu „Mobilizacja“ ów czas próby moralnej, kiedy mimo zdrady świata nie załamał się duch narodu Husa, Żiżki i Masaryka.

Dziś, gdy nasze wyzwolone narody podają sobie braterskie dłonie, wspomnienie okrutnych doświadczeń jeszcze silniej zespala nas w umiłowaniu wspólnej wolności. Bo wolność nasza jest ich wolnością, ich swobodą żywi się nasza swoboda. A duch tej wspólnej wolności — w jakiejże dziedzinie działalności ludzkiej objawia się najpełniej i najlotniej, jeśli nie w poezji, w twórczości artystycznej? To ona, poezja polska, czeska i słowacka była zawsze, wbrew błędom i zdradom polityków, manifestacją umiłowania wolności. Witając więc dziś przedstawicieli literatury czeskiej i słowackiej, pozdrawiamy nie tylko naszych kolegów po piórze, ale i współbojowników o wolność i godność człowieka.

15 maja 1947

Julian Przyboś

JAN PARANDOWSKI

MUZEUM HAŃBY I ZBRODNI

Znakomity pisarz polski Jan Parandowski zwraca się z następującym apelem do pisarzy świata.

Dopóki kontynent europejski, z wyjątkiem paru skrawków, był pod okupacją niemiecką, a nad całym globem szalała najpotworniejsza wojna, cierpieliśmy w osamotnieniu. Niewiele znaczyły głosy rozpaczy, bijące w niebo podziemnymi stacjami nadawczymi w Polsce, w Norwegii, w Holandii, we Francji, w Jugosławii. W przeładowanym eterze zagłuszały je komunikaty z frontów, alarmy bombowe, propaganda polityczna. Kraje wojujące miały za dużo własnych trosk i nieszczęść, by nagiąć uwagę ku zbrodniom spełnianym poza ich horyzontem, a w krajach neutralnych wyobraźnia nie mogła sprostać faktom, które nam samym wydawały się nie do pojęcia. Dopiero proces norymberski rozdarł zasłonę. Był on niezwykłym zdarzeniem, którego konsekwencje moralne dadzą się jeszcze nieraz odczuć w historii. Powolny bieg procesu, na co tak często sarkano, był podyktowany mądrością. Dzięki tej skrupulatnej procedurze nie tylko odjęto zbrodniarzom wszelki pozór ofiar przemocy, ale po raz pierwszy w dziejach odsłonięto przed światem kulisy krwawych zdarzeń, wydobyto na jaw najbardziej tajne dokumenty, nawet szepty poufne, nawet myśli spiskowców, i to nie w historii pisanej sine ira et studio, nie w interpretacji uczonych, ale przed trybunałem sądzącym zbrodnie przeciw ludzkości.

Odtąd, jak wokół płomiennego centrum, skupiły się inne procesy, w różnych krajach Europy, otwierające widok na zbrodnie, dokonywane w obozach, w więzieniach, na całych wsiach, na całych miastach, na całych narodach. Kadencja nie jest zamknięta, jeszcze przez lata wybuchać będą w sumieniu człowieczeństwa potworne wizje. Lecz w świadomości narodów, które najbardziej ucierpiały, a i u wielu jednostek z różnych stron świata utrwaliło się przekonanie, że listy winowajców nie podobna wyczerpać choćby i tysiącami nazwisk, że winę ponosi cały naród niemiecki — myśl, nieobca nawet niektórym Niemcom, co zdołali z pogromu etyki ocalić szczątki sumienia. Któż jednak sobie wyobraża, że tu kara odpowie przestępstwu?

Ukarać Niemcy według ogromu ich przestępstwa potrafiliby tylko sami Niemcy. Kto przeżył z nimi pięć lat, mógł się zaznajomić z systemem, godnym podrzutków prehistorii. Według tego systemu przestępstwem było każde słowo, każdy czyn lub nawet odruch, świadczący o wrogości, odrazie czy choćby niechęci wobec narodu niemieckiego, spełniony w jakimkolwiek miejscu i czasie. W tym dzikim kodeksie karnym przeszłość, nieraz daleka, była równa teraźniejszości. Było to zorganizowane, ujęte w ścisłe reguły uczucie zemsty, pamiętliwe i dokładne jak inwentarz, dociekliwe jak aparat śledczy. Ten system działał w Europie przez 5 lat i wydał na śmierć miliony ludzi.

A teraz widuję prawie co dzień jeńców niemieckich, ciągnących ulicami na roboty, które, jak można sądzić z ich wyglądu, w niczym nie przypominają pracy w obozach, skąd moi rodacy, jeśli wracali, wychodzili podobniejsi do szkieletów niż do żywych ludzi. Ci jeńcy idą przez ulice ze skromną eskortą, a często zdarza się ich widywać na zupełnej swobodzie, wałęsających się bezczynnie. Przez 5 lat terroru poczucie niezmiernej krzywdy nasyciło każdego Polaka taką nienawiścią, że zdawałoby się czeka tylko dnia, kiedy odpłaci za wszystkie okrucieństwa. Ten dzień nadszedł, a na krążących po mieście Niemców nie podnosi się niczyja ręka, nie pada na nich kamień, nóż nie szuka ich ciała i krwi. Ludzie obrzucają ich zimnym spojrzeniem i mijają. Nie trzeba natężać wyobraźni, by sobie odtworzyć los Polaków, wydanych w ten sposób na zemstę niemiecką: do końca ulicy nie dotarłyby nawet strzępy takiej zabłąkanej gromady.

Nie chcę tu wywyższyć swoich rodaków, widywałem to i gdzie indziej, jestem pewny, że to samo zjawisko powtarza się we wszystkich krajach Europy. I jestem z tego dumny. Europejczyków nie stać na zaciętość równą okrucieństwom niemieckim: by ją posiąść, trzeba by swoją duszę sponiewierać w taki sam sposób, w jaki sponiewierano duszę niemiecką. Nie, jakby wielu chciało powiedzieć — przez 12 lat reżimu hitlerowskiego, ale przez kilka pokoleń. Od tak bowiem dawna hodowano wszystkie dyspozycje psychiczne, potrzebne do przyjęcia i zrealizowania piekielnej doktryny. Nie ma w „Mein Kampf“ ani jednego zdania, którego by się nie dało odnaleźć w pismach dawniejszych szowinistów niemieckich i tak samo nie ma nic absolutnie nowego w całej literaturze partyjnej, która wszystkie swoje tezy może poprzeć cytatami z autorów, wyprzedzających ją o pół wieku, nieraz o stulecie. Jeśli zaś idzie o metody podboju, o postawę wobec innych narodów, o praktykę grabieży, mordów i niszczenia, cała historia Niemiec dostarcza ilustracji do ostatniego dziesiątka lat i w charakterystyce Ariowista, skreślonej przez Cezara, odnajdują się rysy tych, którym wyrok norymberski zarzucił powróz na szyję.

To uzasadnia odpowiedzialność całego narodu niemieckiego za zbrodnie, dokonywane pod kierunkiem gestapo i SS; to nam objaśnia, dlaczego tylu uczonych, lekarzy, inżynierów brało bezpośredni udział w tępieniu milionów ludzi, służąc nie tylko za przymuszone narzędzie, ale często wkładając w tę pracę śmierci swą inicjatywę, pomysłowość, wiedzę; to nam tłumaczy, jak mógł być wciągnięty w koszmar obozów przemysł i handel, bo i pracowały dla nich fabryki, wyrabiające piece krematoriów czy trujący cyklon dla komór gazowych, i całą siecią kanalików rozprowadzano po organizmie gospodarczym Rzeszy zyski z łupów, zdartych z pomordowanych ofiar, ze złotych plomb wyrywanych trupom, z mączki kostnej służącej za kompost, z tłuszczu ludzkiego używanego do fabrykacji mydła, z włosów kobiecych do wyrobu materaców. Nigdy człowiek nie zabijał z takim wyrachowaniem, nigdy tak skrupulatnie nie wyzyskiwał surowca, jakiego mu dostarczał mord.

Mówi się, że nie wszyscy Niemcy byli winni. Czyż trzeba tego dowodzić, że wolny od zmazy jest Tomasz Mann, szlachetny duch, tak dziś tragiczny wobec zbrodni swojego narodu? Lecz poza nim i kilku jeszcze wybranymi, których nazwiska znane są światu, gdzież szukać tych niewinnych? Po czym ich rozpoznać?

Przez Europę wzdłuż i wszerz przewędrowały dziesiątki milionów Niemców wszelkiego wieku, od młodych chłopiąt do starców, a kobiet było prawie tyle co mężczyzn. Byli w w mundurach wojska, policji i partii, w uniformach urzędników i kolejarzy, w bluzach robotniczych i nawet w zwyczajnych cywilnych ubraniach. To prawda, że większość z nich była niewolnikami swojego ohydnego reżimu, że tak samo drżeli przed gestapo, że płoszyła im sen myśl o kartotece w tajnej policji, a nieraz zrywało z łóżka nocne pukanie do drzwi, jeden z symbolów tego czasu zgrozy. Lecz na zewnątrz, w stosunku do podbitej ludności, wszyscy byli przedstawicielami „herrenvolku“, gromada zwarta i jednolita, odgrodzona od reszty świata, niby drutem kolczastym, swoją postawą, swoimi obyczajami i przywilejami. W wielu miastach zajmowali osobne dzielnice, zawsze najlepsze, skąd wyrzucono na bruk poprzednich mieszkańców, nie pozwalając im najczęściej nic zabrać z ich dobytku. Niemcy mieli własne kawiarnie i restauracje, własne lokale rozrywkowe z napisem „Nur für Deutsche“, własne sklepy i magazyny, olśniewające obfitością wybornego towaru, pochodzącego z grabieży naszego mienia, nawet własne tramwaje. I tu już nie było żadnej różnicy. Czy radca szkolny lub bibliotekarz, czy urzędnik starostwa, magistratu, kwaterunku lub krawiec, kupiec, przedsiębiorca czy wreszcie jeden z niezliczonych treuhänderów czyli komisarzy, którym oddawano w zarząd majątki, firmy, domy wydziedziczonych tubylców — ci wszyscy ludzie byli jednako zaborczy, dumni, nieustępliwi, drapieżni, często okrutni. Same ich ciała — pełne, tłuste, ociężałe, ich twarze żarłoczne, ich czerwone, fałdziste karki stanowiły brutalny i wyzywający komentarz do oficjalnych mów i zarządzeń: że kraj podbity jest ich łupem, który pochłoną i strawią, a ich krok, ten krok twardy i nieprzejednany, z łoskotem ścierający nasze kamienie zapowiadał, że zmiażdżą wszystko, co im stanie na drodze. Najlichszy urzędniczyna z Rzeszy, najskromniejszy rzemieślnik, nawet te zatroskane gospodynie, które się widywało kiedyś przejazdem przez miasta niemieckie, z okien wagonu, jak we wczesnych godzinach rannych krzątały się po swych schludnych ulicach, nawet one, a może zwłaszcza one zmieniały się w żywe manifestacje germańskiej buty i złości. Każdy Niemiec po paru tygodniach pobytu w Polsce był dokładnie poinformowany i całkowicie świadomy, w jaki sposób rządzona jest ta ziemia. Wiedział o codziennych aresztowaniach, obozach, masowych egzekucjach i prędzej czy później należał do wykonawców, sam groził opornym katowskimi środkami, czerpał z terroru zyski, brał udział w grabieży. Kradli i rabowali wszyscy. Każdy był ssawką do wyciskania soków żywotnych tego kraju.

Mając przed oczami Polskę, mówię o wszystkich krajach podbitych przez Niemców, chociaż wiele z nich nie doznało tylu okrucieństw co moja ojczyzna. Gdyby na mapie Polski oznaczyć czerwienią wszystkie miejsca, gdzie Niemcy wieszali, rozstrzeliwali, torturowali naszych ludzi, cała nasza ziemia wyglądałaby jak ciało przeszyte tysiącem ran, cała we krwi. I byłby to najprawdziwszy obraz Polski, skatowanej i sponiewieranej w ciągu pięciu lat, nie mających sobie podobnych nawet w tak tragicznych dziejach jak nasze. Lecz dokonywano tu mordu nie tylko na milionach Polaków, ale i na milionach ludzi ze wszystkich krajów Europy. W ten sposób zbrodniarze niemieccy przepełnili czarę naszego cierpienia, dodając i tę gorycz, że nasza ziemia stała się miejscem powszechnego uboju.

Lecz wszędzie pracowała ta sama myśl drapieżna i jeśli gdzieś mechanizm ucisku i gwałtu szedł wolniejszym rytmem, nie znaczyło to, że ów kraj miał być oszczędzony, wszystkim bowiem groziła zagłada w razie zwycięstwa Niemiec. Hitler, który swą koncepcję świata opierał na wiadomościach z podręczników elementarnych, głosił, że bez niewolnictwa nie można stworzyć wyższej kultury. To co innych czekało w przyszłości, tym byliśmy już, tym staliśmy się od pierwszego dnia rządów niemieckich. Zamknięto szkoły z wyjątkiem elementarnych i rzemieślniczych. Brano kontyngenty zboża, mięsa i ludzi. Wymierzano tubylcom racje żywnościowe takie, że umarliby z głodu, gdyby musieli na nich poprzestać. Odrzucano „ludność nie-niemiecką“ (te słowa pojawiały się w każdym rozporządzeniu) poza nawias praw, przysługujących społeczeństwom cywilizowanym, I nie działo się to na mocy niepisanego postępowania, ale przez jawne ustawy i dekrety, plakatowane na murach, ogłaszane w dziennikach i w osobnych publikacjach. Zbiory tych urzędowych potworności stanowić będą jedyny w historii zbiór dokumentów, który dzięki obłędnemu zaślepieniu Niemcy sami przeciwko sobie wydawali i gromadzili.

Tak samo odosobniony w historii będzie fakt zniszczenia Warszawy. Nawet jeśli go zestawić z takimi zdarzeniami, jak zburzenie Kartaginy i Koryntu (po paralele dla barbarzyństwa niemieckiego zawsze trzeba się trudzić na dalekich drogach dziejów), nawet w tym zestawieniu zasłuży sobie na miano unikatu ze względu na metodę niszczenia i ludzi, którzy tym kierowali. Byli bowiem wśród nich uczeni niemieccy, jeśli godzi się poniewierać ten zaszczytny tytuł nazwiskami rabusiów i podpalaczy. Ci ludzie na to uczyli się historii sztuki, by użyć swej wiedzy do oznaczania budowli zabytkowych, mających przed innymi ulec doszczętnej zagładzie. Osobiście kierowali wyborem dzieł sztuki, przeznaczając jedne do wywiezienia w głąb Niemiec, drugie do unicestwienia na miejscu. Wobec kultury, wobec tworów ducha, wobec pomników historii spełniali tę samą rolę, jaką inni siepacze, rozproszeni po setkach obozów i więzień spełniali wobec ludzi — gwałcąc, torturując i zabijając. Zostali powołani do haniebnej misji i przyjęli ją i służyli jej z całym oddaniem, a tą misją było: uśmiercenie kultury podbitego narodu.

Sumienia europejskie i amerykańskie niepokoi myśl o zbiorowej odpowiedzialności, która zawisła nad Niemcami. Nawet ich wysiedlanie z krajów, gdzie byli pasorzytniczym zielskiem, skłania wielu do litości. Kto tak sądzi, ma zbyt mało wyobraźni, by pojąć, że nie ma dziś kraju w Europie, który by ścierpiał u siebie choćby znikomą mniejszość niemiecką, i to nie przez uczucie zemsty, ale z odrazy, z głębokiego wstrętu do plemienia, co przyjmując prawa i obowiązki obywateli danego państwa, pozostaje jego zaklętym wrogiem i czyha na sposobność, by zmienić się w jego ciemięzcę. Lecz i odpowiedzialność zbiorowa ma swoje uzasadnienie. To, co tak słusznie prokuratorzy norymberscy nazwali spiskiem, dokonało się w istocie dzięki zrzeszeniu się wielkiej masy, całego narodu niemieckiego, dla osiągnięcia celów, przerastających siły małej garstki. Szło o opanowanie świata dla potęgi, bogactwa, wyłącznego posiadania dóbr materialnych i duchowych przez naród niemiecki.

Pamiętamy przejmujące wrażenie, jakie nie tylko na nas, ale i na cudzoziemcach, sprawiła wystawa, urządzona w ocalałym pośród ruin stolicy Muzeum Narodowym — wystawa pn. „Warszawa oskarża“, która odbyła później podróż po innych krajach. Lecz wystawa jest zawsze czymś przemijającym, musi w końcu zwinąć i schować swoje eksponaty. Ta jeszcze miała zasięg dość szeroki, lecz oto w Inowrocławiu otwarto inną, równie potworną, a dostępną zbyt małej liczbie ludzi. Powinien zaś cały świat obejrzeć takie przedmioty, jak nóż z kości do otwierania listów, mający napis: Echter Jude, pantofle z włosów ludzkich, skórę wyciętą z pleców pewnego księdza w obozie w Gusen i spreparowaną na pergamin, popielniczki z czaszek męczenników. Czyż to wszystko ma pochłonąć jakiś la-

NAGRODA LITERACKA „ODRODZENIA“

Pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“ ustanowiła coroczną nagrodę „Odrodzenia“. Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, w dniu święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1.IX 1939 r. W ubiegłym roku nagrodę otrzymał Tadeusz Breza za powieść „Mury Jerycha“.

Podajemy skład jury tegorocznej nagrody „Odrodzenia“:
MARIA DĄBROWSKA, ANNA KOWALSKA, LEON KRUCZKOWSKI, WACŁAW KUBACKI, KAROL KURYLUK, JAN PARANDOWSKI, STANISŁAW PIGOŃ

WYSOKOŚĆ TEGOROCZNEJ NAGRODY WYNOSI ZŁ 250000

mus? Jeszcze bardziej uciska nas problem zachowania i konserwacji obozów. Jest ich tak wiele, zajmują tak znaczne obszary, że nie warto się łudzić, jakoby życie mogło je uszanować wszystkie i w całości. A nie podobna dopuścić, by ich potworna treść uległa zatarciu. Muszą znaleźć swe miejsce maszyny do mielenia kości ludzkich, aby przyszłe generacje mogły je oglądać, tak jak musi być utrwalone, inaczej niż w suchej relacji, jedno z najbardziej wstrząsających zdarzeń, syntetyzujące w straszliwej wizji wszystko co da się powiedzieć — ów pogrzeb symboliczny, gdzie rabin złożył w mogile kawał mydła pochodzącego z fabryki śmierci i odprawił nad nim modły za dusze swej wytępionej gminy.

Potrzebna tu jest instytucja stała, pod fachową i troskliwą opieką. Byłoby nią **Muzeum Hańby i Zbrodni.** Najodpowiedniejszym dla niego miejscem byłaby stolica każdego z krajów, które przeszły okupację niemiecką. Służyłoby ono do zebrania i ukazania światu okrutnego bezprawia i obłędnego niszczycielstwa, dokonywanego metodycznie przez naród, z racji swego położenia należący do narodów europejskich. Byłoby to trwałe i dla wszystkich dostępne archiwum ponurego okresu dziejów nowożytnych, które nie przestanie być przedmiotem badań, a jego obraz powinien być przestrogą dla ludzkości i wiecznym piętnem dzikich zbrodniarzy.

W skład muzeum weszłyby wszystkie dokumenty, zarówno fotografie, jak i przedmioty — potworne corpora delicti, których tak wiele zostało w obozach, mimo że Niemcy usilnie starali się zacierać ślady. Dalej plany obozów, ich modele plastyczne, szaty więźniów, lalki, wózki, buciczki wymordowanych dzieci, niewolnicze odznaki różnych narodowości ujarzmionych, tragiczne gwiazdy syjońskie, wymowne oskarżenie reżimu, który do najdrobniejszych szczegółów obmyślił sponiewieranie człowieka, zanim go zgładził. Historię ghetta należy pokazać od pierwszych dni, kiedy w oznaczonych ulicach rosły mury z cegieł i kamieni, wznoszone przez samych Żydów, jeszcze nie przeczuwających swojego losu, jak oplatały się u góry drutem kolczastym lub jeżyły tłuczonym szkłem, na którym krwawiły się później dłonie dzieci, uciekających z obwodu śmierci; gdy zamurowywano bramy i okna przechodnich kamienic; gdy spędzano do ghetta tłumy ludzi, gdy ponad ulicami zawieszano tablice o niebezpieczeństwie zarazy, jakby wszystko zostało podjęte ze względów sanitarnych, następnie tragiczny byt ludzi, odgrodzonych od świata, wśród nędzy, chorób, bezprawia, wreszcie oczyszczanie ghetta, gdy rojowisko ludzkie wypędzano w drogę wiodącą do komór gazowych. W tym obrazie bunt zrozpaczonych strzelałby słupem ognia i krwi, a wzniosła postać Korczaka na czele kolumny dzieci byłaby świadectwem o niezłomnej sile dobra.

Dla materiałów dokumentarnych życia w obozach i więzieniach zgromadzi się wszelkie akta, tajne rozkazy i zlecenia poufne, korespondencję władz obozowych i więziennych z władzami wyższymi, z firmami handlowymi i przemysłowymi — cyniczny przetarg śmierci. Proces norymberski wydobył na jaw wiele dokumentów, których się nikt nie domyślał — wpadły one w ręce zwycięzców dzięki szybkości i popłochowi Niemców. Same akta procesu znajdą się zapewne w jakimś jednym miejscu, może w Londynie lub New Yorku, lecz kopiami należałoby obdzielić wszystkie Muzea Hańby i Zbrodni. Trudno sobie wyobrazić, żeby Polska nie otrzymała bądź oryginału bądź całkowitego odpisu „Pamiętników" Franka, jednego z głównych źródeł historycznych dla tego okrutnego okresu. Dokumenty znajdą wymowną ilustrację w statystykach, rejestrach i opisach zbrodni, w protokołach prowadzonych dziś w całej Europie procesów przeciw katom i zdrajcom, w pamiętnikach ofiar terroru, w listach przesyłanych z obozów, w grypsach więziennych, w kartkach rzuconych na łaskę losu z samochodów ciężarowych, wiozących ofiary łapanek ulicznych. Jakąż potworną wieść o odczłowieczonych istotach przyniosą filmy i fotografie, robione przez samych katów, którzy często stawali w szeregu nagich szkieletów ludzkich, na chwilę przed egzekucją, aby się wraz z nimi upamiętnić!

Muszą być zebrane wszystkie ustawy, dekrety, rozporządzenia władz okupacyjnych, dotyczące zmiany granic, nazw, ustroju państw i miast, ograniczające prawa ras i narodów lub poszczególnych grup społecznych czy jednostek, zamykające szkoły, nakazujące spalenie książek itd. Wszelkie druki urzędowe świadczące o uciemiężeniu języka i narodowości, o wyzysku ekonomicznym i pogwałceniu samych praw do życia, jak np. karty żywnościowe, karty pracy, wezwania na roboty. Wreszcie roczniki dzienników i czasopism, wydawanych przez władze okupacyjne. W tym olbrzymim archiwum oficjalnym, gromadzonym z tak obłędną szczerością przez ludzi, którzy nad sobą nie czuli kary, zawiera się nieodparty materiał dowodowy przeciw Niemcom na wiele pokoleń.

W ciągu pięciu lat nie było dnia, żeby z murów miast czy z osiedli wiejskich nie krzyczał jakiś nowy plakat z wyrokami śmierci lub z oprawczymi zarządzeniami. Były i afisze, nacechowane ponurą groteską o idylicznym życiu robotników wywiezionych do Niemiec. I one znajdą się w zbiorach, a wśród nich jedyny akcent wesoły stanowić będą satyryczne afisze, którymi walczyła Warszawa, dodając do atrybutów swojego bohaterstwa i heroiczny humor. Obok czasopism, wydawanych przez Niemców w podbitych krajach, znajdą się wszelkie druki i obiekty propagandowe, jak np. ów słynny sielankowy film, przedstawiający wysiedlanie Polaków z zachodnich województw, którego nikczemność należałoby skonfrontować ze zdjęciami i opisami tej ponurej akcji, gdy tysiące ludzi wypędzano z domów, tak jak stali, i głodnych, zziębniętych, bez łyżki ciepłej strawy, tygodniami pędzono w wagonach bydlęcych w srogą zimę z 39 na 40 r. Wcale pokaźny dział utworzą publikacje uczonych niemieckich, którzy stali się pachołkami reżimu i pod jego dyktatem przerabiali archeologię, prehistorię, językoznawstwo, historię sztuki, etnografię, wszystko, czego od nich zażądano, a często, zanim zażądano. Inicjatywa nauki niemieckiej była samorzutna w tych wszystkich wypadkach, w których rządzący nawet nie podejrzewali problemów do wyzyskania w interesie swojej polityki albo tam gdzie zbrodnicze instynkty lekarzy porywały na stół operacyjny tysiące „doświadczalnych królików" z obozów koncentracyjnych.

Zbiory, archiwa, biblioteki Muzeów Hańby i Zbrodni opierałyby się przede wszystkim na materiałach, ilustrujących okres okupacji w danym kraju, lecz jednocześnie byłyby uzupełniane przez kopie, fotografie, publikacje z innych części Europy, tak, żeby wszędzie można było mieć całkowity obraz tych potwornych faktów. Stanowiłyby one materiał do badań, wielkiej wagi i ceny, jeśli się pomyśli, że jest on narażony na zniszczenie przez tysiące rąk, splamionych zbrodnią, które już dziś splatają nici nowych spisków przeciw bezpieczeństwu i godności naszego kontynentu. Biblioteki muzeów zgromadziłyby również całą literaturę, przygotowującą hitleryzm, setki i tysiące pism, urabiających psychikę niemiecką w ciągu lat z diaboliczną przewrotnością, dzieła tych zbrodniarzy ducha, jak Werner Jäger, Wilhelm Frommel, Hans Bogner, Ernst Krieck, Alfred Bäumler — wychowawców SS, i wszystko, co mogłoby zilustrować infernalną pedagogikę, specjalne szkolnictwo, które produkowało oprawców Europy. Do tych materiałów sięgną zapewne ci, którzy marzą o przebudowie psychicznej Niemiec o wychowaniu nowego pokolenia, zdolnego do współżycia z ludźmi.

Wśród więźniów w obozach koncentracyjnych byli uczeni, pisarze, artyści. Z samego Krakowa, w jednym dniu likwidacji Uniwersytetu Jagiellońskiego porwano blisko 200 osób, profesorów i docentów. Spośród takich właśnie ludzi należałoby powoływać dyrektorów i kustoszów Muzeum Hańby i Zbrodni. To są prawdziwi eksperci. Oni oddaliby temu dziełu nie tylko swoje doświadczenie, ale i myśl, dojrzałą w cierpieniu, myśl, która w dniach męczeństwa pochylała się nad zagadką człowieka i losem ludzkości.

Nie łatwo dziś śledzić bieg literatury europejskiej, lecz nawet ten fragmentaryczny obraz, jaki się posiada, dostarcza ważnych wskazówek. Tematy, ściśle związane z wojną w niektórych krajach są odsunięte na daleki plan przez odgłosy zbrodni niemieckich, spełnionych poza obrębem działań wojennych. One to bowiem wycisnęły ohydne piętno na naszym stuleciu. Jednocześnie zaś można zauważyć, że w innych krajach, zwłaszcza tych, co same nie przeżyły okupacji niemieckiej, za mało się o tym pisze, a to, co się pisze, uderza słabością wyrazu. Nam, którzy osobiście przecierpieliśmy te lata, zawsze przyświecała nadzieja, że w chwili, gdy się podniesie żelazna kurtyna, za którą spełniał się nasz krwawy dramat, całym światem wstrząśnie krzyk zgrozy i gniewu, że tysiące piór pośpieszą na krucjatę przeciw barbarzyństwu, jakie tylko w otchłannych lochach historii znajdzie swe podobieństwo. Spotkał nas zawód. Zapewne nie brak książek czy broszur czy wreszcie artykułów dziennikarskich, omawiających zbrodnie niemieckie i opisujących miejsca kaźni, lecz jeśli się wsłuchać w echo, które im odpowiada, jest ono raczej nikłe. Gdyby było silniejsze, nie mógłby się podnieść ani jeden z tych głosów, które wprowadzają ton łagodnej rozwagi, nawet wyrozumiałości. To jest możliwe tylko przez niedostateczne przeżycie wewnętrzne, przez niedokładną znajomość faktów, których sucha statystyka, choćby najeżona groźnymi liczbami, nie może udźwignąć.

Byłoby niewybaczalnym błędem, grzechem naszego pokolenia, gdyby nie uczyniło ono wszystkiego, aby przekazać potomności dokładne i wyczerpujące materiały do poznania krwawego obłędu Niemców i ich niszczycielskiej roboty. Nie na to posiadamy umiejętność i środki utrwalenia i konserwacji zabytków oraz dokumentów historycznych, aby pozostawić fakty tak potworne na łaskę niedomówień i ogólników, które z biegiem czasu same wymazałyby się z pamięci. Mamy obowiązek wobec milionów ofiar i wobec ludzkości. Jeśli ludzkość ma znaleźć drogę do wyższej kultury moralnej, nie może iść przez fałsze i ową drwiącą krytykę, która korzysta z braku źródeł, by wybielać czarne karty historii. Już czytaliśmy ze zgrozą słowa jednego z adwokatów na procesie w Belsen: że „więźniowie Oświęcimia zasługiwali na wymierzane kary". Gdyby tak zaczęto pojmować sprawiedliwość, zadano by ponowną śmierć, o wiele sroższą, tym wszystkim męczennikom, których krew powinna użyźnić duszę współczesnego świata.

Trzeba być głuchym, by nie słyszeć gorszących i groźnych głosów, które coraz częściej dochodzą z Niemiec. Potępieni przez ludzkość despoci III Rzeszy, w swym własnym społeczeństwie wywołują gniew, ale nie odrazę. Przeciętny Niemiec nie obarcza ich winą za zbrodnie, ale oburza się, że go wpędzili w klęskę i niedostatek. Do bezmiaru występków dołącza się zatwardziałość sumienia. Mam w ręku test, gdzie są cytowane słowa, jakie padły z ambony w jednym z kościołów niemieckich: „Wielki już czas skończyć z zagadnieniem odpowiedzialności zarówno zbiorowej jak i indywidualnej". Wielki czas! Już teraz, kiedy jeszcze wymierają tysiące ludzi, których wyniszczyły obozy, kiedy ofiary zbrodniczych eksperymentów leczą swoje kalectwo, kiedy co miesiąc, co tydzień ziemia wydaje nowe, przejmujące zgrozą tajemnice niszczenia narodów, kiedy jeszcze z domów niemieckich wyławia się dzieci polskie, porwane z ojczyzny po wytępieniu ich rodziny!

A jednocześnie krążą po Niemczech, w tekstach różnojęzycznych, odbijane na maszynie oskarżenia przeciw Polsce za znęcanie się nad Niemcami. Są one pisane językiem broszury „Polnische Blutschuld", wydanej podczas wojny z oficyny Goebbelsa, i językiem propagandy z ostatnich miesięcy przed wrześniem 1939 Jutro przeniosą się one z arkuszy maszynopisów na łamy dzienników, pojutrze pojawią się w książce o nakładzie wielotysięcznym. Niebawem rozpoczną Niemcy wielką ofensywę moralną przeciw tym, których wczoraj zabijali i tępili, z zamiarem całkowitej zagłady. W coraz już śmielszej propagandzie ludność polska, nawet księża polscy są przedstawiani jako nieludzcy oprawcy na Ziemiach Odzyskanych. Można być pewnym, że w niedalekiej przyszłości znajdą się pióra dość nikczemne, by najpierw zohydzić męczeńskie narody, następnie zaryzykować rehabilitację katów Europy. Nie wystarczy wtedy prostować, karcić, oburzać się, trzeba zmusić do milczenia, trzeba takie pióra złamać wstydem. Może to zaś uczynić tylko ciągła naoczność faktów.

Piszę te słowa nie jako polityk, którym nie jestem i nigdy nie byłem, ale jako Europejczyk i pisarz, który przyjmuje na siebie przeznaczoną mu część odpowiedzialności za ustrój moralny jego czasów. Zwracając się nie do samej Polski, ale do wszystkich narodów, które krwawiły pod pazurami Niemiec, oczekuję pomocy w zrealizowaniu tej inicjatywy najpierw od Związku b. Więźniów Obozów Koncentracyjnych, następnie od UNESCO. Spodziewam się, że w tych instytucjach niniejszy zarys zostanie szczegółowo opracowany. Co do nas zaś, sądzę, że nie powinniśmy zwlekać i wyczekiwać szerzej zakreślonej akcji międzynarodowej, ale natychmiast przystąpić do utworzenia Muzeum Zbrodni i Hańby w Warszawie, dając wzór i przykład.

Jan Parandowski

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

Organizacja nauki i szkół wyższych

Plenarne posiedzenie Rady Szkół Wyższych, odbyte w dniach 10 i 11 kwietnia, ustaliło już zasadnicze wytyczne projektu nowej ustawy o organizacji nauki i szkół wyższych. Projekt ten stanie się podstawą dalszych szczegółowych prac podkomisji, zanim w ostatecznej formie wejdzie pod obrady Prezydium Rady Ministrów i Sejmu.

Ze względu na ogólne zainteresowanie — i na plotki, jakie wywołały obrady, należy szerzej omówić na forum publicznym założenia projektowanej ustawy.

Najpierw zasadnicze wyjaśnienie. Celem ustawy nie jest decydowanie w szczegółach o samym charakterze reformy studiów uniwersyteckich. Jest to zagadnienie odrębne, rozpatrywane przez Radę Szkół Wyższych i Ministerstwo Oświaty na zupełnie innej płaszczyźnie.

Ustawa reguluje tylko organizację nauki i wyższego szkolnictwa: określa pojęcie samorządu szkół wyższych, stosunek uniwersytetów i instytutów naukowych do Ministerstwa Oświaty, strukturę organizacji życia młodzieży akademickiej; omawia sam proces kształcenia i przygotowania kandydatów do teoretycznej pracy naukowej. Kierunek przewidzianej reformy studiów został tylko najogólniej zarysowany w ustawie: przyjęto ramową zasadę dwustopniowości, tj. akademickiego i zawodowego wykształcenia w obrębie jednej uczelni.

Ustawa spełnia rolę aktu prawnego, który w przełomowych chwilach narodu zazwyczaj sankcjonuje już dokonane przeobrażenia społeczne, a jednocześnie jest punktem wyjścia dla nowego etapu historycznego.

Podstawowym założeniem ustawy jest wolność nauki i badań naukowych, gwarantowana w szeregu ściśle sprecyzowanych artykułów. Historyczną racją klasy robotniczej, walczącej o polityczne i gospodarcze przekształcenie dotychczasowego ustroju, była zgodność głoszonych przez nią poglądów z doświadczeniami naukowymi. Ścisłość naukowej analizy zjawisk gospodarczych i społecznych była zresztą rękojmią zwycięstwa każdego wielkiego ruchu społecznego. W obecnym etapie była rękojmią zwycięstwa mas ludowych, których dźwignią jest klasa robotnicza w najszerszym znaczeniu słowa, obejmującym zarówno pracowników fizycznych, jak i inteligencję pracującą. Nie jest więc żadną rewelacją, że obóz demokracji ludowej stał dotąd zawsze i stoi dzisiaj na straży wolności badań naukowych, wolności głoszenia naukowych poglądów. Nauka wymaga jednak ustawicznej konfrontacji z codziennymi doświadczeniami naukowymi, ustawicznego sprawdzania z życiem, które jest procesem ciągłego rozwoju. Teorie naukowe, zwłaszcza z dziedziny ekonomii, socjologii, nauki o metodach myślenia, humanistyki i nawet nauk ściśle technicznych, jeśli nie pogłębiały się o coraz to nowe wyniki, przestawały być nauką, a stawały się jej zaprzeczeniem. Stawały się po prostu tylko szkodliwymi poglądami poszczególnych jednostek. Dlatego wolność badań naukowych i wolność głoszenia poglądów naukowych nie może być równoznaczna z brakiem kontroli przez odpowiedni areopag autorytetów naukowych, pozostający w bezpośrednim kontakcie z całokształtem życia naukowego w Polsce i z najwyższymi władzami Ministerstwa Oświaty, które winno skoncentrować w swoim ręku władzę wykonawczą w tej dziedzinie.

Ustawa zmierza zatem do centralizacji.

Dlatego musiała ulec zmianie sama idea samorządu Nauki i Szkół Wyższych. Idea samorządu, oczywiście w ramach ustroju państwa ludowego, a nie poza tym państwem, jest słuszna. Jest nawet koniecznym warunkiem twórczej inicjatywy świata nauki, odtrutką na bakcyle biurokratyzowania się poszczególnych organów naszego państwa. Lecz idea samorządu musi się dostosować do nowej struktury naszego państwa i jego ekonomii. Warunkiem każdego planowania jest jedność ośrodka dyspozycyjnego. Średniowieczna pozostałość w postaci dzisiejszych republik uniwersyteckich jest nie tylko śmieszna w naszej rzeczywistości, lecz w swojej istocie zaprzecza idei samorządu. Ustawa przewiduje przesunięcie punktu ciężkości samorządu z ośrodków lokalnych do ośrodka centralnego, w postaci Rady Głównej przy ministrze Oświaty, składającej się w dwóch trzecich z czynnika naukowego, w jednej trzeciej z czynnika społecznego.

W ten sposób idea autonomii znalazłaby swoje nowoczesne wcielenie w postaci scentralizowanej, odpowiadającej duchowi epoki i ustrojowi naszej gospodarki narodowej. Warunkiem jednak twórczego funkcjonowania takiego ciała jest, by obok głosu opiniodawczego w sprawach administracji szkolnej posiadało głos stanowczy w sprawach nauki. Rada Główna o kompetencjach wyłącznie doradczych nie potrafiłaby nigdy spełnić swego zadania, jak każde ciało sprowadzone do roli organu doradczego. Jednocześnie ustawa przewiduje systematyczne zwoływanie kongresów naukowych jako najwyższego sejmu świata nauki. Zadaniem takich kongresów byłoby wypowiadanie się w zasadniczych sprawach, dotyczących reformy studiów, wolności badań naukowych, kierunku tych badań, oraz wytyczenie najbliższych zadań, stojących przed polskim światem naukowym.

Przewodniczącym Rady Głównej winien być z urzędu minister Oświaty, jako czynnik koordynujący pracę samorządu naukowego z centralnym aparatem państwowym.

Ustawa przewiduje dwa typy organizacji władz szkolnych. Szkoły wyższe nie akademickie miałyby ustrój ściśle monokratyczny. Rektor, mianowany przez ministra Oświaty, i Rada Pedagogiczna jako organ tylko doradczy.

Szkoły wyższe akademickie oparte byłyby nadal o instytucję Senatu, z wyłączeniem z jego kompetencji spraw administracyjno-gospodarczych na rzecz dyrektora administracyjnego, mianowanego przez ministra Oświaty, odpowiedzialnego jednak w swojej codziennej działalności przed rektorem. Rektora mianowałby Prezydent Rzeczypospolitej na wniosek ministra Oświaty spośród trzech kandydatów przedstawionych Radzie Głównej przez Senat Akademicki. W ten sposób senat akademicki zachowuje tu prawo inicjatywy. Dziekan byłby wybierany przez Radę Wydziałową, lecz zatwierdzony przez ministra Oświaty. Poza Senatem przewiduje się nowe ciało, zwane „Ogólnym Zebraniem", w którym braliby udział nie tylko wszyscy profesorowie, lecz również delegaci młodzieży akademickiej, asystentów i personelu administracyjnego. Istotną innowacją projektowanej ustawy jest przeniesienie prawa powoływania profesorów z Rad Wydziałowych na Radę Główną, przy czym Radom Wydziałowym pozostawia się prawo inicjatywy przy wysuwaniu kandydatów. Ściśle z tym zagadnieniem wiąże się problem tak zwanej centralnej habilitacji. Gwoli ścisłości należy jasno stwierdzić, że ustawa przewiduje jako zasadniczą formę habilitacji — habilitację wydziałową, wprowadza jednak prawo odwołania się od wyroku Rady Wydziałowej do decyzji Rady Głównej, która posiada ustawowe prawo przeprowadzenia we własnym zakresie, przez powołanie odpowiednich komisyj, habilitacji w skali centralnej. W ten sposób daje się Radzie Głównej prawo niezbędnej korekty, tak koniecznej zwłaszcza w stosunku do nowych dyscyplin naukowych, lub też dyscyplin istniejących w wynaturzonej formie, jak np. historia doktryn politycznych. W tej samej płaszczyźnie ma zostać rozstrzygnięta sprawa kontroli procesu doktoryzacji przez wprowadzenie prawa, nie zaś obowiązku, awizowania doktoratu i ew. prawa veta, przysługującego wyłącznie Radzie Głównej.

Jednocześnie dla usprawnienia działalności naukowej i dydaktycznej uniwersytetów wprowadza się prawo kontroli programów pracy i ich wykonania, przez usankcjonowanie zasady sprawozdań składanych okresowo Ministerstwu Oświaty.

Wprowadzając zasadę dwustopniowości, to jest szkół akademickich i szkół wyższych zawodowych, ustawa przesądza w pewnym stopniu reformę studiów w kierunku wyżej przewidzianym. Dopuszcza się możliwość wprowadzenia dwustopniowości nawet w zakresie tej samej szkoły akademickiej (Politechnika, Wyższa Szkoła Ekonomiczno-Handlowa, Rolnicza). Zadanie szybszego szkolenia kadr zawodowych, utrudnione przez potrzebę nowych baz technicznych i szczupłość kadr naukowych, w wielu wypadkach tylko w ten sposób może zostać rozwiązane. Zwłaszcza że winniśmy dążyć do tego, aby młodzieży obierającej kierunek zawodowy, nie odbierać możliwości dalszych studiów akademickich, już po otrzymaniu tytułu zawodowego.

Ustawa omawia również szczegółowo problem młodzieży. Nie chodzi oczywiście o zamknięcie dostępu do uniwersytetów młodzieży mieszczańskiej czy tym bardziej inteligenckiej. Zależy nam jednak na tym, żeby młodzież robotnicza i chłopska miała dostęp do szkół wyższych nie tylko formalnie, ale i faktycznie. A ten cel można osiągnąć tylko przez danie materialnych możliwości studiowania tym wszystkim, którzy dotąd ze względu na upośledzenie materialne nie mogli skończyć szkoły średniej. Należy skrócić system szkolenia dla dorastającej lub już dorosłej młodzieży pracującej. Stawiając sprawę w ten sposób, dążymy do równego startu dla wszystkich już na obecnym etapie, drogą ustawowego zatwierdzenia systemu realnie istniejących kursów dokształcających.

Oto są w krótkim zarysie podstawowe wytyczne projektu ustawy o organizacji nauki i szkół wyższych.

Jeszcze kilka słów o dyskusji dokoła projektu, zwłaszcza dyskusji nie ujawnionej w artykułach publicystycznych. Z reguły atakuje się nie istniejące w ustawie artykuły i fikcyjne założenia. Zarzuca się jej represyjny charakter, zniesienie instytucji senatów akademickich, zlikwidowanie wolności badań naukowych, skasowanie habilitacji wydziałowych. Czy takie stawianie sprawy jest wyłącznie wyrazem złej woli? Sądzę, że nie. Przyczyny są znacznie głębsze. Przyczyny ciągle jeszcze tkwią w istniejącej wśród polskiej inteligencji psychozie nieufności. Jest ona w znacznym stopniu wyrazem niezrozumienia logicznych praw rozwoju społeczeństw w epoce wielkich przemian rewolucyjnych, które są tak niepowtarzalne, jak niepowtarzalne jest każde zjawisko życia. Jest ona często wyrazem braku zaufania do własnych sił, do możności samodzielnego rozstrzygnięcia problemu polskiej drogi do socjalizmu. Jest ona wyrazem niewidzenia olbrzymiego wysiłku polskiej klasy robotniczej, podjętego dla unarodowienia swoich założeń ideologicznych, dla znalezienia polskich korzeni historycznych analizy teoretycznej własnej drogi rozwojowej.

Istniejącą wśród polskiej inteligencji psychozę lęku przed „sowietyzacją" Polski nazwałbym w tych warunkach **lękiem nieświadomości.** Jest to lęk najbardziej trudny do przezwyciężenia, ponieważ żaden argument nie trafia tam, gdzie decyduje nie naukowa metoda analizowania zjawisk, lecz nawyki tradycji, okruchy emocjonalnych urazów przeszłości.

Problem jest tym cięższy — powiedziałbym — tym tragiczniejszy, że w podobnym nastawieniu wychowana jest dotąd znaczna część młodego pokolenia, i to zarówno w szkołach średnich, jak i w wyższych. Najlepiej jeszcze przedstawia się sprawa w szkołach typu politechnicznego, gorzej już w szkołach ekonomicznych, wręcz tragicznie na wydziałach humanistycznych. Na polskich uniwersytetach dotąd jeszcze ma podatny grunt każda antynaukowa teoria, do teorii rasistowskich włącznie, lecz z trudem tylko, z największym wysiłkiem zapuszcza korzenie filozofia materializmu dziejowego. Jak może młode pokolenie nie tylko zrozumieć, lecz pokochać własną polską drogę do socjalizmu, gdy uczy się je myśleć antydialektycznie. Jak może polska nauka twórczo się rozwijać, gdy jest opanowana psychozą lęku przed wyimaginowanym niebezpieczeństwem ograniczenia wolności nauki.

Nie chcę twierdzić, że ta psychoza dotyczy całej polskiej inteligencji. Tak jak każde uogólnienie, i to byłoby fałszywe. Inteligencja przeżywa, twierdzę to z całą stanowczością, głęboki proces odrodzenia intelektualnego, który jednak ciągle jeszcze hamują nawyki przeszłości, a często po prostu nieprzezwyciężona dotąd rutyna aparatu organizacyjnego minionych stuleci. Średniowiecze nadal jeszcze straszy na naszych uniwersytetach. Miałem do czynienia z delegacjami polskich uczonych, którzy do tego stopnia byli zasugerowani fatalną siłą tradycyjnej rutyny, że możliwość jakiejkolwiek zmiany wydawała im się niewiarygodna.

I to jest istotą zagadnienia. Wydanie ustawy o organizacji nauki i szkół wyższych ma na celu otwarcie wrót dla rzeczywistego prawa do badań naukowych, ma na celu wpuszczenie świeżego wiewu dokonanej już w Polsce we wszystkich niemal dziedzinach rewolucji ludowej.

Nie chcemy niczego siłą łamać, nikogo prześladować, nikogo pozbawiać możności naukowej pracy. Chcemy zwyczajnie i po prostu, żeby nasze uniwersytety stały się nie tylko kuźnią wiedzy ścisłej, zgodnej z osiągnięciami nauki lat ostatnich, lecz żeby równocześnie stały się kuźnią wiedzy o wyzwolonym z pęt eksploatacji człowieku, kuźnią wiedzy o prawach rządzących zbiorowością ludzką w jej drodze do bezklasowego i wolnego społeczeństwa.

Mówimy jasno, prosto i otwarcie i chciałbym, by tak również czytano moje słowa. Inteligencja polska jest organiczną częścią wielkiego obozu świata pracy i jej historyczne drogi są drogami klasy robotniczej. Przyszłość nauki związana jest ze światem tworzącym tę właśnie przyszłość. A nie ze światem ginącym. Nie należy więc bronić poezji, która historycznie już nie istnieje. Nie należy walczyć z upiorami wrogiej nam propagandy. Trzeba spojrzeć w oczy nowej rzeczywistości, rzeczywistości trudnej, żądającej ofiar, lecz jakże jednocześnie wielkiej.

Włodzimierz Sokorski

KAZIMIERZ WYKA

OBRONA VAN MEEGERENA

Wysoki Sądzie!

Zanim przystąpię do właściwej obrony starca, który zasiada przed wami, oczekując sprawiedliwego wyroku — niechaj mi będzie wolno sięgnąć po fakty, które sprawie jego odbierają charakter indywidualnego zboczenia i przestępstwa.

W toku sporu o van Meegerena jeden z krytyków holenderskich powiedział: „Na 2 500 obrazów, namalowanych przez Corota, w Ameryce można znaleźć 7.800". Ten dziwny rachunek jest rachunkiem zupełnie prawdziwym. Można nim objąć nie tylko dorobek Corota, ale w ogóle liczbę sfałszowanych dzieł sztuki.

Niewątpliwie pomiędzy popytem na dzieła sztuki a podażą tworów podrobionych zachodzi prosty stosunek. Skoro popyt rośnie, podaż stara się nadążyć. Ponieważ trudno nadążyć w odkrywaniu coraz nowych arcydzieł — nadąża się fałszerstwami. Liczba amerykańskich Corotów zależna jest wprost od ilości bogatych Amerykanów, pragnących przywieźć jakiś obraz z Europy.

Wyroby artystyczne fałszowano w najdawniejszych czasach, kiedy Amerykanów nie było. Pliniusz wspomina, iż rzeźbiarz i złotnik Zenodorus tak po mistrzowsku podrobił dwa puchary Calamisa, że nie dały się odróżnić od oryginałów. Był zaś w Grecji ów Calamis kimś takim, jak Benvenuto Cellini w 2000 lat później. Już na dwieście lat przed Chrystusem zamieszkujące Apulię szczepy oskijskie naśladowały wazy etruskie. Niestety, bez znajomości języka, w którym wymarli już Etruskowie umieszczali napisy. Archeologowie bez trudu rozpoznają ich wyroby. Zważą panowie, że trudno tutaj mówić o motywach identycznych, co przy magicznej sile dolara, zaspokajanej celowo podrabianym Corotem.

W każdej epoce sztuki podrabiano, fałszowano, przerabiano, dotwarzano — wszystko. Wszystko, od kości człowieka dyluwialnego po tiarę Saitafernesa i płótna Rembrandta. Oto trzymam w dłoni dzieło Pawła Eudela „Fälscherkünste". Opowiada o zasięgu tych fałszerstw, o sposobach, sztuczkach, podejściach i gierkach. Czyta się je jak najbardziej pasjonującą powieść kryminalną, jak zbiór najweselszych anegdot, jak kopalnię tematów literackich. Lecz detektywów strzegących muzeów przed intruzami obchodzi tylko nagi fakt. W ich pojęciu dzieło podrobione, skoro się je uda zdemaskować, jest po prostu złodziejstwem, a sprawca złodziejem. Kropka. Mało ich obchodzą motywy. Sądy wszakże istnieją po to, by w nie wnikać.

Motywy rządzące uczynkami mojego klienta staną się jaśniejsze na tle faktów, jakie za chwilę przypomnę. Przed kilkudziesięciu laty archeologowie francuscy odkopali płytę rzymską z zatartym napisem. Dały się odczytać te tylko litery:

ICI ES
TL EC HE
M IN DE
SA NE S

Długo się głowili, do którego z konsulów lub imperatorów odnoszą się szczątki napisu. Przestali się głowić, kiedy sprawca, który zakopał ową płytę, zgodnie z tym, co na kamieniu widnieje, odczytał: **Ici est le chemin des ânes.** Tutaj jest droga osłów.

Pewnemu członkowi francuskiej Akademii Napisów przedstawiono przed laty odkopany garnuszek z niezgrabnie wyrytymi znakami M J D D. Uczony archeolog rozszyfrował skrót jako — MAGNI IOVI DEORUM DEO. Wielkiemu Jowiszowi bogu bogów. Niestety, garnuszek nie był poświęcony Jowiszowi, lecz musztardzie. Skrót oznaczał: MOUTARDE Jaune de Dijon. Żółta musztarda z Dijon.

Oto autentyczne i śmieszne anegdoty.

Przed laty kilkudziesięciu pewien florencki handlarz w taki oto sposób sprzedał w Ameryce płótno Rembrandta. Miał on nadwornego i zręcznego kopistę. Nakazał mu wykonać nienaganną kopię któregoś z „Tytusów" Rembrandta. Powiadam — któregoś. Bo wiecie panowie, że był to ów syn, który Rembrandtowi nie przysporzył pociechy na stare lata. Chyba tej tylko, że posłużył ojcu od lat dziecięcych po dojrzałe za model najpiękniejszego łańcucha portretów, jakim kiedykolwiek ojciec obdarzył marnotrawnego syna.

Płótno odpowiednio spreparowano, by mogło ujść za współczesną Rembrandtowi kopię. Obraz został podpisany jego sygnaturą, po czym podpis zamalowano i położono nazwisko jakiegoś nieznanego malarza, dodając — kopia z Rembrandta. Dzieło, tak przyrządzone i naturalnie ocenione śmiesznie nisko, wysłał handlarz do Nowego Jorku pod adresem swojego wspólnika. Równocześnie do urzędu celnego w Nowym Jorku skierował dyskretne pismo, że tym a tym statkiem przybędzie za ocean autentyczny Rembrandt, zadeklarowany jako kopia po to, by uniknąć wysokiego cła wwozowego od przedmiotów zbytku. Celnikom donosił o tym rzekomy konkurent, któremu obraz podkupiono, donosił podając również trick z podpisem. Jaki urząd celny na świecie nie uwierzy takiemu doniesieniu?

„Tytus" przypłynął i został naturalnie ujawniony. Nowojorski wspólnik zagrał rolę zrozpaczonego. Skąd weźmie tyle dolarów na cło?! „Zapożyczył się" i zapłacił 15 tysięcy. Od urzędu wziął zaświadczenie autentyczności obrazu, w sposób nie podlegający zwątpieniu potwierdzone aż taką sumą dolarów. Później już bez trudu sprzedał płótno za 80 tysięcy. Historia milczy, ile lat więzienia kupił za tę cenę.

Przypominam wypadki tak jaskrawe, by uświadomić Wysokiemu Sądowi, że sprawa van Meegerena jest całkiem inna. Hans van Meegeren nie jest kawalarzem ani kanciarzem. Jest najbardziej prawdziwym, a teraz złamanym przez życie artystą.

Przejdźmy kolejne ogniwa jego sprawy, od dnia, kiedy VII armia amerykańska w pościgu za rozbitymi dywizjami niemieckimi w okolicy Berchtesgaden wzięła do niewoli zgromadzony przez Goeringa zbiór dzieł sztuki. Był olbrzymi. Obejmował 1.200 najwspanialszych płócien. Znajdujący się w tym zrabowanym zbiorze obraz Jana Vermeera van Delft „Chrystus i jawnogrzesznica" nie byłby zapewne zwrócił uwagi, gdyby nie znaleziono w papierach Goeringa rachunku, świadczącego, że obraz ten został zakupiony w roku 1943 w Amsterdamie za 1.600.000 guldenów. To była nowość w zbiorze Goeringa. Ten satrapa nie miał obyczaju kupować dzieł sztuki, skoro kosztem życia właścicieli mógł je mieć za darmo.

Rachunek oznaczał, że ktoś z Holendrów sprzedał Goeringowi płótno przynależne do najrzadszych na świecie. Bardzo haniebna forma kolaboracji. Z dużym zarobkiem. Nie będę powtarzał szczegółów, przez czyje ręce przechodziła Jawnogrzesznica, nim stała się własnością Goeringa. Dość, że właściwym sprzedawcą okazał się mój klient. Aresztowano go. Przesiedział trzy tygodnie. Został zwolniony. Znów aresztowany. W śledztwie żądano, by przyznał się do tak ohydnej kolaboracji. Ohydnej tylko moralnie. Bo Wysoki Trybunał wie doskonale, że prawie nic mu nie groziło. Niestety, wolno mu było sprzedać Goeringowi Vermeera, którego posiadaczem był od dawna.

Ale zarzut kolaboracji był nie do zniesienia dla prawdziwego Holendra. Z tą plamą van Meegeren nie mógł żyć. Broniąc swojego honoru, zburzył dzieło swojego życia. Zabrał ludzkości na zawsze kilka pięknych złudzeń. Bo sprzedany Goeringowi obraz Vermeera został namalowany przez tego oto starca, jego drżącą dłonią, i van Meegeren wyznał to przed dwoma laty. Wyznał zarazem, że w latach 1937 — 1943 podrobił i sprzedał do muzeów sześć płócien Jana Vermeera van Delft.

Nie były to kopie istniejących dzieł Vermeera. Nie były to również składanki motywów lub partii występujących w przechowanych po dzisiaj jego dziełach. Jeżeli chodzi o temat, były to całkowicie nowe kompozycje; całkowicie wierne stylowi Vermeera, jeśli mowa o ich wykonaniu, kolorycie i świetle.

Oto są nagie fakty, pod których oskarżycielskim ciężarem czeka Hans van Meegeren na wasz sprawiedliwy wyrok. Z tymi faktami zdołaliśmy się od dwóch lat na tyle oswoić, że nie dostrzegamy ich niezwykłości — jedynej i nieporównanej. Podobnej nie znają dzieje sztuki nowoczesnej. Ponieważ zdołaliśmy się oswoić, moim obowiązkiem jako obrońcy jest właśnie przywrócić tym faktom ich niezwykłość. Wierzę bowiem głęboko, że ta niezwykłość jest najlepszym obrońcą van Meegerena.

Na czyjeż to dzieło porwał się Hans van Meegeren? Życie Jana Vermeera z Delft było krótkie, a dorobek po śmierci tak zapomniany, że o jego żywocie wiemy bardzo niewiele. Żył w latach 1632—1675, nie wiadomo, czy podróżował poza Holandię, uczniów nie pozostawił żadnych, dzieci jedenaścioro, obrazów w chwili zgonu dużo, skoro wdowa płaciła nimi za dostawy chleba piekarzowi. Zapomniany został doszczętnie na dwa stulecia i dopiero u przedświtu impresjonizmu poznano się na jego dorobku. Odtąd wzrósł w sławie i ocenie, jak nikt bodaj z zapomnianych w jego stuleciu.

Nie było sprawą przypadku, że poznano się na jego arcydziełach właśnie u początków impresjonizmu. Bo Vermeer jest jednym z dalekich przodków tego prądu, który poprzez najbardziej intensywne piękno barwy odkrywał piękno materii i światła. Nawet pewne nieudolne naśladownictwa jego płócien świadczą o tym pokrewieństwie. Jeden z badaczy opowiada o krajobrazie Jana Vermeera van Haarlem i wnętrzu Gerarda Terborcha, które usiłowano podrobić na dzieła wielkiego Vermeera w bardzo charakterystyczny sposób: przez nałożenie na dawny podkład jaskrawych poprawek i wzmocnień kolorystycznych, osiągniętych techniką pointylistyczną. Techniką zatem — odkrytą przez impresjonizm.



„Uczniowie w Emaus" — obraz namalowany przez van Meegerena

Vermeer zakochany był we wnętrzach przesyconych światłem rozbitym o szyby, zakochany był w dotykalnym cieple przedmiotów, w fałdach i kształtach rzeczy, zakochany miłością jedyną i absolutną, miłością koloru. Nie ma na świecie drugiego artysty, którego oko z miłością tak czujną i tak baczną przylegałoby do materialnej powierzchni świata. Lecz po cóż mam o tym wielkim mistrzu mówić własnymi nieudolnymi słowy, jeśli mnie w tym wyręczył inny, nie mniejszy od Vermeera, mistrz pióra?!

„To są fragmenty jednego świata, to jest zawsze — przy całym talencie malarza — ten sam stół, ten sam dywan, ta sama kobieta, ta sama nowa i jedyna piękność, zagadka w owej epoce, w której nic nie jest do niej podobne, ani jej nie tłumaczy; jeżeli nie będziemy szukali powinowactw w tematach, ale wydobyć zechcemy swoiste wrażenie koloru... Vermeer tworzy jakąś duszę, jakiś kolor materii i miejsc."

Książka, jaką odkładam, to dzieło Marcelego Prousta „W poszukiwaniu straconego czasu". Wśród nazwisk artystów, przewijających się przez karty tego cyklu nazwisko Vermeera powtarza się w funkcji najbardziej dostojnej: jako ostateczna miara piękna, ta, której miejsce wówczas, gdy inne miary zawodzą. O Vermeerze pisze wciąż studium jego namiętny wielbiciel Swann. Nie dowiadujemy się u Prousta, czy je ukończył. Przed obrazem Vermeera przedstawiającym Widok Delft umiera wielki pisarz Bergotte. Umiera rażony wielkością tego piękna, którego jemu nigdy nie było dane osiągnąć. „Szacowna materia kawałka żółtej ściany" w tym pejzażu zabija Bergotta. „Moje książki są za suche; trzeba było je przeciągnąć kilka razy farbą, uczynić każde zdanie cennym samo w sobie, jak ten fragment żółtej ściany".

Dzieło Prousta mówi również o najbardziej intymnych powodach uwielbienia, jakie dla Vermeera żywił on i jego zakochana w dostojnym pięknie materii epoka. Czyni to, chociaż nazwisko Vermeera nie pada wówczas.

Czyż pod piórem Prousta nie powstaje najpiękniejsze wnętrze Vermeera? Czy nie cyrkuluje pomiędzy nimi ten sam ideał piękna: dusza materii, dusza miejsc? Bo ten mistrz był najsubtelniejszym pomiędzy malarzami poetą wnętrza mieszkalnego. Poetą tej najbliższej człowiekowi przestrzeni, która w każdym szczególe nosi ślad jego ręki, ciepło jego oddechu. I historyk sztuki, kiedy o nim pisze — Elie Faure — postępuje tak, jakby streszczał obraz Prousta: „Wszystko u niego żyje i mówi, widać, że czajnik jest ciepły, że z krzesła co dopiero ktoś powstał, a dywan co dopiero został upuszczony, że podnóżki czekają na stopy, które się o nie wesprą, że wszystkie te tak bliskie rzeczy są jednak trochę zużyte, że cień, który po nich błądzi, nosi ciepło dłoni."

A iluż było poetów wrażliwych na to przytulne piękno przedmiotów!

Przy kominku orzechy na dębowej tacy.
Dziadek i słoik z miodem, tuż fotel ze skóry
cielęcia, obok półki z książkami i z góry
jakoby dwa promienie: Pliniusz i Horacy,
w nim ten wiersz o wznoszącej ramiona Phidyle...
słychać śmiech: to kominek gra swą krotochwilę.

Jak konie skaczą cienie; blask izby rozszerza;
tabun cieni w step zmienia mieszkania obszary —
i ożywają miasta w holandzkich talerzach,
lampy lampom coś mówią, zegarom zegary,
zwykły zydel nabiera sekretu rebusa,
a sen różdżką niebieską stuka w drzwi lamusa.

Oto opis domu polskiego poety, K. I. Gałczyńskiego. Wspomnienie, moi panowie, wspomnienie, jeżeli poeta sześć lat spędził w niewoli, a żona przeżyła dwa oblężenia i jedną długą okupację, wspomnienie dalsze od holenderskiego obrazka. „Non è maggior dolore, jak wrócić wspomnieniem do dawnych herbat, tudzież ciast i konwersacji" — jak wzdychał inny poeta kraju tak deptanego przez wojny i najazdy, że nie masz w nim dzisiaj rodziny, która by pamiętała pokoje swoich dziadków, ciepłe ślady ich zmarłych dłoni na fałdach starych kotar.

Lecz wróćmy do Vermeera. Takiemu mistrzowi Hans van Meegeren sprostał sześciokrotnie. Sprostał tak, że jego dzieła nie przestają być mimo wszystko nowymi dziełami Vermeera. Jakże się nie zdumieć nad niezwykłością tego zjawiska! Jak prawdziwym artystą jest ten, kto tego dokonał!

Mój klient, pytany w śledztwie, dlaczego sięgnął po Vermeera, odpowiedział: „Dlatego, że miałem wielki podziw dla niego, lecz równie łatwo mógłbym wybrać każdego innego. Były też inne przyczyny. Jego styl był mi bliski i najłatwiejszy do naśladowania." Oto przykład złudzeń, którym ulegają prawdziwi artyści. Van Meegeren sądzi, że zdolny byłby wejść w styl każdego z minionych malarzy. Nowe Vermeery temu przeczą. Zdolny był wejść tylko w duszę Jana Vermeera z Delft. Tego miasta, gdzie sam studiował architekturę, gdzie przesiąkł niewiele zmienioną atmosferą ojczyzny swego genialnego poprzednika. Tylko z nim łączą go tajemnicze związki; jakie, pozwoli Wysoki Sąd, że na razie zamilczę.

Tę główną trudność, zniesienie dystansu od naszego stulecia trzy wieki wstecz, od własnego temperamentu malarskiego do temperamentu Vermeera, van Meegeren pokonał po mistrzowsku. Już za to samo byłby godny podziwu. Zwłaszcza, że historia sztuki zapisała podobne przykłady, a artyści, którzy tego dokonali, zostali słusznie ocenieni. W XVI wieku istnieli we Włoszech dwaj znakomici medalierzy, którzy po mistrzowsku opanowali sztukę naśladowania medali starożytnych. Giovanni Cavino i Alessandro Bassiano. Dzisiaj, chociaż pochodzenie ich medali starożytnych jest wszystkim zbieraczom wiadome, są one bardzo poszukiwane i drogo płacone. W latach 1830—1868 żył we Włoszech rzeźbiarz Bastianini, tak genialnie wyczulony na wygląd rzeźby quattrocenta, że jedno z jego popiersi długo w Luwrze zajmowało miejsce obok „Jeńców" Michała Anioła, jako niewątpliwe arcydzieło nieznanego mistrza. Kiedy stało się wiadome, czyjego dłuta jest ów biust, posągów Bastianiniego nie przegnano z muzeów. Jego Savonarola i Madonna z dzieciątkiem zajmują poczesne miejsce w londyńskim Kensington Museum. A nawet detektyw sztuki pisze o nim, że należał do najbardziej uzdolnionych plastyków swego stulecia.

Któż z was, panowie sędziowie, zaręczy, że dzieł Vermeera, pędzla van Meegerena, nie czeka podobna przyszłość? A gdyby w katastrofach, które mogą jeszcze przewalić się nad światem, dzieła Vermeera pędzla Vermeera zaginęły, a te ocalały, czyż gorzej będą pełnić ich wspólną funkcję: objawiać piękno materii takie, jakim je widział Vermeer? Jakie po raz drugi tym samym okiem dojrzał dopiero Meegeren. Z Fidiasza znamy tylko późniejsze kopie. Fidiasz nie przestał mimo to być jednym z największych rzeźbiarzy ludzkości. Ale nie tylko sobie to zawdzięcza: wielu van Meegerenom starożytności również.

Nie mniejsze były trudności inne. Zważmy, jakie przeszkody musiały wyminąć nowe płótna Vermeera, by dostać się do muzeów. Muzeum współczesne bardzo przypomina więzienie, ale na odwrót. Na drodze zwykłego przestępcy czyha cały aparat podejrzliwości, skomplikowane bogactwo naukowych metod śledczych, nie mniejsza pomysłowość w logicznym wiązaniu ogniw przestępstwa. Pan to wie dobrze, panie oskarżycielu publiczny. Pana to nazwał pewien pisarz polski pesymistą za wynagrodzeniem. Wystarczy, by stojąca panu do usług maszyneria jednym trybem uchwyciła przestępcę za marynarkę, a już go do więzienia wciągnie. A pan spisujesz wtedy piękne poematy pesymistyczne o naturze ludzkiej, wobec których Leopardi to anioł niewinności. Tyle, że w pana poetyce strofą jest paragraf.

Na drodze starego obrazu, który pragnie się dostać do muzeum, wznosi się nie mniej skomplikowana machina śledcza, ale — broniąc wstępu. Tym bardziej podejrzliwa, im obraz cenniejszy. Dyrektorzy współczesnych muzeów to nie Amerykanie, którym napełniony dolarami portfel trzęsie się niecierpliwie nad każdym ujrzanym płótnem. Dyrektorzy muzeów wiedeńskich nie kupili tiary Saitafernesa, chociaż dopiero w siedem lat po jej nabyciu przez Luwr wybuchnął skandal i obiektywnych podstaw do podejrzliwości zrazu nie było.

Tylko w dowcipnej anegdocie, a nie w rzeczywistym muzeum autentyczność dzieł sztuki rozpoznaje się tak, jak w salonie Guermantesów opowiada o tym u Prousta niemiecki prinz Von: „Mamy w Berlinie starego archeologa. Przed zabytkami asyryjskimi stary archeolog płacze. A jeżeli to jest falsyfikat, jeżeli nie jest naprawdę starożytne — nie płacze. Zatem, jeżeli się chce wiedzieć, czy jakiś archeologiczny kawałek jest naprawdę stary, niesie się go do starego archeologa. Jeżeli płacze, kupuje się tę rzecz do muzeum. Jeżeli oczy archeologa pozostaną suche, odsyła się przedmiot kupcowi i skarży się go o fałszerstwo".

Dostojny książę niemiecki zapomniał, że nie wszystkie twory artystyczne mają właściwości cebuli. A jeżeli nawet wyciskają niekiedy łzy, to łzy owe nie posiadają, niestety, charakteru odczynnika używanego przy ścisłych badaniach.

Łatwiej więc przestępcy uciec z najlepiej strzeżonego więzienia aniżeli obrazowi wtargnąć do praw-



Hans van Meegeren w swojej pracowni

dziwej galerii. Bo wszystkie gry naśladowców dobrze są znane detektywom strzegącym muzeów. Wiedzą oni dobrze, że zgryziony przez kornika blejtram uzyskuje się ze starych topolowych czy lipowych desek. Wiedzą, że stare płótno dzieła podrobionego może być autentyczne, bo uzyskane z obrazu tej samej epoki, lecz o mniejszej wartości lub tak podniszczonego, że na nic się nie zda restauracja. Wiedzą, jak się wywołuje sztuczne pęknięcia i czym chroni się nową farbę, by nie rozpuszczała się w alkoholu. Wiedzą, że nie wystarczy, by kornik przeżarł drzewo; szukają jego obecności w warstwach farb, a jakże trudną rzeczą podrobić tu jego ścieżynki. Wiedzą wszystko i umieją demaskować.

Tymczasem nowe płótna Vermeera obroniły przed tą alchemią swoją autentyczność. Były poddane podejrzliwym torturom. Nakłuwano je igłami badającymi skład chemiczny farb. Przeglądano ich wnętrzności promieniami Roentgena. Nagrzewano lampą kwarcową. Uroczyści chiromanci mierzyli dokładnie, czy układ wywołanych przez wieki zmarszczek na ich obliczu — chiromanci od sztuki nazywają to pęknięciami — zgodny jest z tym, co ich magia przepisuje jako regułę dla płócien XVII wieku. Żadna tortura z milczącej duszy tych obrazów nie wydobywa zgrzytu nieprawdy.

Obroniły ją również przed najlepszymi znawcami mistrza z Delft. Abraham Bredius, który wystawił świadectwo autentyczności pierwszemu dziełu z nowej serii Vermeera, „Uczniów w Emaus“, to nie jakiś pętak. Od dziesiątek lat zajmował się Vermeerem, pisał o nim wielokrotnie, umiał mu słusznie przyznać płótna przypisywane dotąd innym malarzom. Zaiste, Hans van Meegeren miał wszelkie prawo zaufać świadectwu wystawionemu przez męża tak autorytatywnego.

Zresztą nie on jeden zaufał. Zaufało mu Muzeum Boymana w Rotterdamie, które zakupiło to płótno. Zaufali późniejsi nabywcy. Zaufało wreszcie dzieło tak pomnikowe, jak Thieme-Beckera „Allgemeine Lexikon der bildenden Künstler.“ W wydaniu z roku 1940, tomie 34, w artykule poświęconym Vermeerowi czytamy o tej kompozycji: „Uznany przez A. Brediusa za wczesne dzieło Vermeera, a przez D. A. Hoogendijka odzyskany dla Holandii wielki obraz przedstawiający „Uczniów w Emaus“, (nowy nabytek Muzeum Boymana w Rotterdamie), ze względu na rozwiązanie kolorystyczne oraz niezawodne techniczne przeprowadzenie należy do jego dojrzałego okresu... w użyciu środków artystycznych, pełnych szlachetnej swobody, jest to najbardziej własne dzieło Vermeera i mimo złego stanu zachowania jeszcze dzisiaj jeden z jego najpiękniejszych obrazów.“

Czy wiele jest we współczesnym malarstwie płócien, o których można by powtórzyć, że należą do najpiękniejszych obrazów Vermeera? W tym naukowym Panteonie malarzy nie tylko o tym jednym z jego nowych tworów czytamy zdania tak pochlebne. O innych również. Można było, zaiste, zaufać. Wysoki Sąd dostrzegł też zapewne, że stale posługuję się powiedzeniem: nowe dzieła Vermeera. Są to bowiem niewątpliwie jego dzieła, chociaż namalowane nie jego ręką.

Oto niezwykłość sprawy van Meegerena. Powiedziałem, że podobnej nie znają dzieje sztuki. Istniał niejeden zręczny naśladowca, kilku mistrzów naraz, ale każdy z nich został szybko ujawniony. Gdyby nie urażony honor Holendra, van Meegeren nie zostałby nigdy. Nie można go porównać również z żydowskim złotnikiem z Odessy, Izraelem Razumowskim, który wykonał przed pięćdziesięciu laty tiarę Saitafernesa. Bo Razumowski był tylko bardzo zręcznym wyrobnikiem. Tiarę wykonał na zamówienie jako rzekomy podarunek dla jakiegoś archeologa, zupełnie nieświadomy, co czyni i gdzie się wdziera: w pobliże Benvenuta Celliniego. Przywieziony do Paryża, nie tego żałował, że jego arcytwór został zdemaskowany, lecz tego jedynie, że nie stał się osobiście jeszcze większą sensacją, że zbyt rychło o nim zapomniano. Tak, wyrobnik, nie artysta.

Jedno ma tylko wspólne jego przypadek ze sprawą mojego klienta. Razumowskiemu nie uwierzono, kiedy oświadczył, że jest twórcą tiary. Kazano mu przeprowadzić dowód prawdy. Przeprowadził, wykuwając z pamięci sceny identyczne z tymi, jakie widnieją na złotej blasze scytyjskiego króla. Tym dowodem obalił autentyczność i starożytność tiary. Jego sprawa na tym się skończyła.

Kiedy Hans van Meegeren przed dwoma laty złożył swoje wyznania, nie uwierzono mu podobnie i postawiono go przed identyczną próbą. Jeżeli płótna, do których się przyznaje, wyszły spod jego pędzla, niech namaluje nowego Vermeera. Van Meegeren pod dozorem policyjnym w kilka miesięcy skomponował wspaniałe płótno, przedstawiające „Chrystusa w świątyni wśród mędrców“. Ale tym dowodem nie obalił autentyczności poprzednich nowych Vermeerów. Przeciwnie — tutaj dopiero rozpoczynają się sprawy van Meegerena ogniwa najbardziej fantastyczne.

Ktoś po raz pierwszy słyszący o tych wypadkach zapyta ze zdumieniem: jak to?! Zażądano od van Meegerena dowodu prawdy, a kiedy postawił go przed oczy, nie uwierzono?! Gdzież logika, gdzie sprawiedliwość? Pierwszym, który wiedział, że jego wysiłek na nic się nie zda, był sam artysta. Kiedy przed rozpoczęciem ostatniego płótna rozmawiałem z nim, tak powiedział: „Wszyscy są przeciwko mnie. Oni już osądzili ten obraz. Będą się gapić na niego, wiedząc, że to nie jest Vermeer, będą mówili: „dobrze wykonane, świetnie wykonane, ale doprawdy nie jest to Vermeer“. Będą wynajdowali drobne skazy, aby udowodnić, że nie jest to dzieło z XVIII w., i będą mówili: „ten szaleniec nie umiał podrobić starego mistrza“.

(Dokończenie w numerze nast.)

OD ADMINISTRACJI

Z dniem 1 kwietnia administracja „Odrodzenia“ przeniesiona została do Warszawy. Zamówienia prenumeraty oraz wszelką korespondencję prosimy kierować na adres: Administracja Wydawnictw „Czytelnika“, Warszawa, Daszyńskiego 16. Pieniądze na prenumeratę wpłacać prosimy na konto czekowe w PKO nr. I-4739.

WACŁAW KUBACKI

WOBEC KRAJOBRAZU*)

Zespół tematyczny, który określamy mianem krajobrazu, oficjalnie należy do nauki przyrody. Geograf i geolog, fizyk, botanik i zoolog uczą nas rozumieć krajobraz. Odczuwać jednak krajobraz uczy nas wiedza nieścisła i nieoficjalna: literatura. Spostrzeżenia naukowe i sugestie poetyckie, fakty i marzenia tworzą naszą wiedzę o krajobrazie. Góry, co niewątpliwie sprawa ukształtowania pionowego ziemi; to jednak także bodziec, wywołujący w nas wrażenia pierwotności, surowości i grozy. Słowem — to wzniesienie nad poziom morza i wzniosłość, jako określona kategoria przeżyć estetycznych.

Zajmuje mnie humanistyczny aspekt krajobrazu: krajobraz jako dzieło człowieka. Człowiek kształtuje pejzaż w dwojaki sposób: materialnie i idealnie, fizycznie i uczuciowo. Działalność materialną pojmuję bardzo szeroko, podobnie jak formy działalności uczuciowej. Przyroda jest naturalnym polem działania człowieka i na odwrót, człowiek przedmiotem złożonych wpływów natury. Kto czytał dzieło Karola Darwina „O powstawaniu gatunków“, ten miał przedsmak porywającej epopei świata, która dotąd czeka na napisanie. Przyrodnik Darwin, nieomylna wyrocznia pozytywizmu, obdarzył nas dziejami świata o niepowszednio szerokich perspektywach poetyckich i nie będzie przesady, jeśli się powie — metafizycznych.

Człowiek jest istotą znikomą — brevi vivens tempore — ramię siły przedłuża mu społeczność, a perspektywę historia, czyli wiedza o działalności zespołów ludzkich. Gdyby jakieś państwo wypracowało plan gospodarczy, dajmy na to, na sto lat, humoryści nie posiadaliby się z radości. A cóż to jest jeden wiek w dziejach ludzkości, nie mówiąc już o przyrodzie? Na wycięcie puszczy w Białowieży nikt by nie pozwolił. W swoim czasie kolejka linowa na Kasprowy Wierch stała się powodem nie lada tumultu prasowego. Gdyby się to działo za czasów dawnej Rzeczypospolitej, animuszu wystarczyłoby na pewno na wywołanie paru rokoszów, zawiązanie kilku konfederacji i wyświadczenie jakiejś łaski choćby do hospodara mołdawskiego, aby nagwałcone polskie dzierżawy, zbrojną ręką przeszkodzić zeszpeceniu Tatr! Trudniej zaś nam przychodzi dostrzec ścisły związek między polityką gospodarczą i krajobrazem. Objęliśmy ochroną żubra, szarotkę; tworzymy rezerwaty w różnych częściach kraju. Są to rzeczy łatwe, bo w tych wypadkach chodzi o pewne konkrety. Nie ma natomiast ochrony krajobrazu, pojętego subtelniej jako zespół pewnych cech, ale takie pewnych, trudniejszych do określenia wartości estetycznych.

Będąc w stronach mickiewiczowskich widziałem majątek, który przedstawiał wyjątkowo bogaty zespół elementów krajobrazowych, charakterystycznych dla ziemi nowogródzkiej. Wokół ogromne przestrzenie łąk, których zieleń przecinają zamaszystymi ogonami białe piaski rzeczki, co niewidocznie i tajemniczo, po gauguinowsku, błękitnieją i zielenieją od łącznego tła. Cicha, pełna jasności rzeczka, oznaczona na mapie jako Myszanka, podchodząc pod kępę sitowia wygina się w sierp, by tym łatwiej pocałować drżące trzciny. W jedną stronę wzrok przenosi się po łagodnych pagórkach aż po widnokrąg, obrysowany szafirowym lasem. Z drugiej — bieleje brzozowy gaj. Z wysokiego komina gorzelni popłynął w tamtą właśnie stronę dym — łącznik między bielą zabudowań dworskich i bielą brzóz. Jest to jakby kontrapunkt kolorystyczny w tutejszym ogromie zieleni krajobrazie, wzmacniany nieraz wieczorami przez perłową mgłę. Temu odpływowi bieli w przestrzeni brzozowa odpowiada w pogodne popołudnia przypływ szafirowej dali, która za wiatrem nadciąga od lasu, zatapia łąki i jednając trawę sunie ku rzeczce — łagodna fraza błękitu. Sitowie klaruje swoim wzrostem brzeszczot wody.

Przyjrzyjmy się gospodarczej podszewce tego krajobrazu. Majątek był uprzemysłowiony: tartak, gorzelnia, młyn, rasowe obory, lasy, warzywnictwo, gospodarstwo rybne, hodowla owiec, obliczona na dostawę kożuszków dla wojska. Wszystkie te kółka wzajemnie się zahaczały. Równowaga finansowa poręczała niezmienność krajobrazu. Mniej szczęśliwe były dobra okoliczne: nieopatrzność właścicieli, a wreszcie kryzys. Jak tylko wzruszono podstawy gospodarcze, zawalał się tradycyjny, białoruski krajobraz. Powstawały nowe krajobrazy. Pólka szły w zawody o lepsze z poleczkami. Znikały wrzosowiska i jałowce. Brzozowe laski legły pod siekierą jako nieużytki. Wyrastały domki i stodoły, których krzywiznę przewidywał już Norwid. Bujne łąki przemieniały się w wydeptane, spalone działki pastwisk, na których ryczały krowy rasy bynajmniej nie holenderskiej i nawet nie polskiej lecz [illegible] i snu biblijnego Józefa, która zapowiadała siedem lat chudych.

Widząc taki krajobraz — pejzaż biedy małorolnego chłopa — typ dobrze nam znany, choć milczały o nim geografie, zaczynałem marzyć o utworzeniu departamentu krajobrazów w ministerstwie rolnictwa. Przecież dobrem narodowym są nie tylko pola, łąki i lasy jako konkrety, lecz również nieuchwytne, estetyczne wartości, które zawdzięczamy polom, łąkom i lasom. Współczesne państwa totalitarne, Japonia i Włochy ustanowiły święto zboża i wina; próbowały nawet wskrzesić krajobrazy antyczne: stwarzano syntetyczne pejzaże werligiańskie z ziół, kwiatów i drzew wymienionych w jego poezjach. Myśmy obchodzili święto lasu.

Ochrona przyrody przeciwstawia się działalności ludzkiej, która usiłuje sprowadzić wielość form natury do kilku prostych typów. Można by to nazwać walką z prawem schematu. Człowiek jednak nie tylko upraszcza, lecz także komplikuje pejzaż. W tym miejscu przechodzimy od fizycznego do niematerialnego kształtowania krajobrazu. Nasuwa się pytanie zasadnicze: czy krajobraz istnieje obiektywnie, czy też stwarzają go sobie kontemplujący przyrodę ludzie? Sprawa ta nie ma nic wspólnego z idealizmem poznawczym. Mówiąc o wpływie człowieka na przyrodę, zajęliśmy stanowisko realistyczne. Las, łąka, góra istnieją obiektywnie. Nie stanowią one wszakże krajobrazu. To dopiero krajobrazowa materia prima. Krajobraz, jak wspomniałem, jest specjalnego rodzaju estetycznym i uczuciowym układem elementów przyrodniczych. Gdzie istnieje krajobraz jako scharakteryzowany tutaj układ? W nas? Czy też utajony bywa w realnych elementach krajobrazowych? Słowem jak „bytuje“, mówiąc językiem filozofów?

Estetycy odpowiadają na to pytanie zależnie od tego, jakiemu kierunkowi filozofii hołdują. Są tacy, co poszczególnym elementom układu przypisują obiektywne jakości uczuciowe. Twierdzą np., że tęsknota czy smutek istnieje w jakiejś postaci nie wewnątrz człowieka jadącego przez step, lecz w samym stepie. Nas kwestia pierwokierunku nastrojowego od przyrody do człowieka czy od człowieka do przyrody w tej chwili nie obchodzi. Idzie w ogóle o powstawanie układu, zwanego krajobrazem.

Układ ten jest pewną całością. Jeden z autorów, którzy starali się określić istotę krajobrazu, Hugo Marcus, mówi nawet o krajobrazie, jako o indywiduum („Zeitschrift für Aesthetik“ t. IX). Obok historii i sztuki krajobraz ma stanowić trzeci, najniższy stopień indywidualności pozaludzkiej. Krajobraz nie ma wprawdzie duszy jednostkowej ani odrębnego ciała, ale mimo to stanowi jednorazowo dany i z jednym miejscem związany układ określonych właściwości. Ten pomysł pozwala autorowi .. efektownej syntezie powiązać historię z geografią, a sztukę z naturą.

Przyznanie krajobrazowi indywidualności ograniczonej co prawda, ale zawsze indywidualności, zbliża krajobraz do dzieła sztuki. Z tego faktu wypływają ważne wnioski. Wczuwanie się w krajobraz ma tedy charakter estetyczny, a nie panteistyczny. Człowiek bowiem ujmujący świat panteistycznie nie indywidualizuje zjawisk. Krajobrazowe bóstwa greckie, zamieszkujące pola, gaje, rzeki i źródła, są dowodem, że odczuwanie przyrody może iść w kierunku estetyzmu. Nie należy przecież zapominać, że Hindusi poszli odmienną drogą. Obiektywne jakości, czy subiektywizm? Żeby uniknąć obu skrajności, nie mówię ani o dialektyce zjawisk pejzażowych, ani o projekcjach naszych stanów duszy, tylko o człowieku wobec krajobrazu.

Zamiast pisać o krajobrazie, jako o pewnym rodzaju indywiduum, mówię o akcie twórczym, który prowadzi do „zindywidualizowania“ krajobrazu. Człowiek dokonuje powiązania luźnie bytujących szczegółów w całość i to w całość nie tylko przyrodniczo lecz również humanistycznie sensowną. Jest to coś w rodzaju syntezy uczuciowej, która gra dużą rolę w mitologii i twórczości poetyckiej. Różne stopnie tej syntezy prowadzą od prostej personifikacji do wyrafinowanego symbolizmu.

*) Z przygotowanego do druku tomu szkiców i studiów literackich pt. „Krytyk i twórca“.

JACEK BOCHEŃSKI

CLASSICA

Długo trwa podróż moja, w której widzę dużo
miast, cyrków, wojen, kobiet, a nie tylko widzę,
bo nieraz sam miasta wznoszę, w cyrku spełniam urząd
albo walczę i kobiety kocham, choć tego się wstydzę.

Sporo aut przejechało mię na wskroś do dna pamięci,
gdy poznawałem smak żegnania miejsc i czasów,
miarę z gwiazd i z nieszczęścia biorąc umiejętnie
albo z domu mojego dzieciństwa.

Ale czy mogłem ten świat porządkować,
układać pięknie, jak się układać daje
muzyka starych mistrzów, skoro się nawet w słowach
i w myśli rwał złowrogo, a dłoniom umykał niedoskonale?

Więc witaj mię, niewiasto, kiedy wracam z wojny.
Twarz moja jest łagodna jak twarz helleńskiego
bohatera. Dziś wieczór mogę być spokojny
czytając Horacego.

JERZY ANDRZEJEWSKI (16)

ZARAZ PO WOJNIE

POWIEŚĆ

Chcąc się odczepić, sięgnął do płaszcza po pieniądze i wcisnąwszy malcowi do piąstki banknot, machinalnie wziął wilgotnawy bukiecik. Nagle się zdecydował. Zawrócił i potrącając w przejściu wychodzących, wszedł z powrotem do hotelu. Rozejrzał się po hallu. Pani Kasi nigdzie nie było. Szukał jej przez chwilę jeszcze. Daremnie. I teraz się dopiero spostrzegł, że trzyma w ręku fiołki. Zgniótł je w dłoni, wsunął zmięte do płaszcza i klnąc siebie w myślach najgorszymi słowami, po raz drugi wyszedł na dwór.

Noc się stała piękna, ciepła i gwiaździsta. Chodniki przeschły po ulewie i gdzieniegdzie tylko połyskiwały na nich płytkie kałuże. Długi sznur wojskowych samochodów stał przed Monopolem. Szoferzy bezczynnie się koło nich wałęsali. Kilku piło wódkę w jednym z wozów. Paru milicjantów stało obok. Pili z tamtymi.

Wychodzący z Monopolu powoli się rozchodzili. Żal im było jeszcze wracać do domów. Przeciągali więc chwilę rozstania, tłocząc się grupkami, śmiejąc się i nawzajem się w mroku poszukując głośnymi nawoływaniami. Z końca rynku dobiegał szeroki śpiew pijacki. Dorożki, uwożące dalej mieszkających ludzi, turkotały po kamieniach. Gdzieś w odległej części miasta, w stronie Alei Trzeciego Maja, zagrzechotała krótka seria strzałów. A ponad wszystkimi tymi głosami rozbrzmiewał w głębi ciemności głos speakera. Raz jeszcze nadawano komunikat.

— ...operacje wojenne zostają wstrzymane dzisiaj w sobotę o godzinie ósmej rano...

Andrzej szybkim krokiem ruszył w swoją stronę. Zaraz za rogiem, w bocznej i wąskiej uliczce, natknął się na wojskowy patrol. Nie miał wprawdzie broni i papiery miał w porządku, lecz przez moment poczuł w sobie ten sam nieprzyjemny chłód, który ogarniał go zawsze za czasów okupacji, ilekroć minąć musiał patrol niemiecki. Odruch poniżającego wstydu dołączył się do tego dreszczu.

Nie zatrzymano go zresztą. Żołnierze wolno szli środkiem ciasnej jezdni. Na przechodzącego obok Andrzeja jeden z nich skierował światło latarki. Zgasił ją zaraz i niebawem miarowy, ciężki stuk podkutych butów ścichł za rogiem.

— — — — — — —

Alek miał klucz od drzwi frontowych. Lecz gdy go wsunął do zamku, nie chciał wejść. Drzwi musiały być od środka zamknięte. Chwilę się namyślał. Był pewien, że matka jeszcze się nie położyła, zbrakło mu jednak odwagi, żeby zastukać. Cofnął się i obszedł dom dokoła.

W oknie kuchennym światło przezierało w kilku miejscach przez niedość szczelnie dopasowane zaciemnienie. Zastukał. Człapiące kroki Rozalii rozległy się prędzej, niż przypuszczał. Podeszła do drzwi i zatrzymała się.

— Kto?

— Ja — odpowiedział półgłosem.

Gdy wszedł do środka, zatrzasnęła drzwi z hałasem. Żachnął się.

— Nie może ciszej Rozalia zamykać? Cały dom Rozalia obudzi.

Stara ubrana już była do snu. Głowę miała okutaną w ciepłą chustkę, na sobie gruby szlafrok, spod którego widać było białą i długą do ziemi koszulę. Swoimi maleńkimi, ledwie widocznymi spod chustki oczkami nieżyczliwie zmierzyła Alka.

— Tylko kto ma nieczyste sumienie, to chce do domu po cichu wracać. Ja się nie potrzebuję na szczęście bać hałasów.

Wzruszył ramionami i nadrabiając miną przeszedł obok starej. W głębi domu panowała cisza. Niezdecydowany, co ze sobą zrobić, przystanął na środku kuchni.

— Szkoda, że się nie później wraca do domu — odezwała się Rozalia.

— Mama jeszcze nie śpi?

— Pewnie, że nie śpi! Także coś. Zamartwiała się, że Alek nie wraca i ma teraz spać?

Starał się nie patrzeć w stronę Rozalii, czuł jednak na sobie bez przerwy jej badawcze, świdrujące spojrzenie.

— To pójdę. Dobranoc.

— Gdzie znowu? Gdzie Alek idzie?

— Jakto gdzie? Spać.

— A kolacja? Będę do stołowego po nocy podawać? Niech tu Alek zje. Zaraz przygrzeję.

— Kiedy nie chce mi się jeść.

— Jakto nie chce? Coś nowego! Pani specjalnie kazała schować kolację. I teraz nie chce się...

— Mogę chyba nie być głodny? — rozzłościł się. — Dobranoc.

Rozalia zaniepokoiła się.

— Jezus Maria, to niechże się Alek chociaż herbaty gorącej napije.

— A jest?

— Pewnie, że jest.

Czajnik stał na małym gazie i woda była prawie gotująca. Parząc sobie wargi, chciwie począł pić. Stojąca z boku Rozalia, w milczeniu mu się przyglądała. Duszkiem wszystko wypił i odstawił filiżankę.

— Jeszcze może?

— Nie, dziękuję. Pójdę już. Dobranoc.

— Dobranoc — odpowiedziała i kiwając głową, ciężko westchnęła.

Pani Alicja czekała na syna w hallu. Już od dłuższego czasu wypatrywała Alka z okna stołowego. To wyczekiwanie godziny całe zdawało się trwać. I gdy ujrzała wreszcie smukłą sylwetkę syna najpierw w furtce, potem zbliżającą się powoli do domu, straszliwy ciężar udręki zsunął się jej z serca. Wrócił. Tego tylko do tej chwili pragnęła. Był. Ale zaraz ją obległo natarczywie wszystko inne. Musiała zdobyć się na wielki wysiłek woli, aby nie pobiec do kuchni zaraz. Jakimiś nieskładnymi, poplątanymi myślami, żarliwie się poczęła modlić całą sobą, całym swoim obolałym ciałem i wszystką rozpaczą i cierpieniem.

Alek szedł przez hall ze zwieszoną głową i dopiero przy schodach spostrzegł stojącą nieopodal matkę. Zatrzymał się, nieśmiało uśmiechnął.

— Dobry wieczór — powiedział cicho.

W pierwszej chwili głosu z siebie wydobyć nie mogła. Wydał się jej blady i mizerny, wymięty jakiś cały, włosy miał zburzone i pod oczami ciemne sińce. Gdzie był? Skąd wracał? Co robił przez tyle godzin? I na co potrzebne mu były ukradzione pieniądze, na jakie zło? Stał przed nią nie dalej niż na wyciągnięcie ramienia i oto nic o nim nie wiedziała, ciemną jątrzącą tajemnicą był dla niej ten syn, ten mały Alek, o którym ciągle nie umiała myśleć inaczej, jak o czystym, niewinnym dziecku. Wszystkie noce przy nim nieprzespane, wszystkie łzy i radości z nim złączone zadrżały teraz w jej ściśniętym sercu, jak gdyby przed ostatecznym i nieodwołalnym usunięciem się w zagubioną przeszłość raz jeszcze ożyć chciały całym ogromem już niepotrzebnej, gorzkiej miłości.

Alek stał z wzrokiem utkwionym w podłogę i w miarę przedłużającego się milczenia ciemny rumieniec oblewał mu czoło, policzki, uszy, spływając krwawą purpurą aż na szyję. Spod opuszczonych rzęs widział swoje błotem oklejone buty.

— Rozalia mówiła, że się mama niepokoiła. Ale dlaczego? Przecież nie ma jeszcze dziesiątej...

Podniósł głowę i umilkł pod jej surowym spojrzeniem.

— Alek!

— Słucham, mamo.

— Nic więcej nie masz mi do powiedzenia? Nic więcej?

— No co? — zająknął się. — Byliśmy w kinie.

— Alek! A tamto?

— Co tamto?

— Jak mogłeś to zrobić? I to ty, ty moje dziecko, mój syn, któremu tak ufałam, tak wierzyłam. Ty złodziejem? Po kryjomu kradnący...

— Co też mama? — gwałtownie się oburzył.

— Wiesz co.

— Wcale nie!

— I jeszcze się nie masz odwagi przyznać? Alek, Alek, jak ci nie wstyd?

Gorączkowo począł po kieszeniach szukać pieniędzy. Znalazł je zmięte w spodniach.

— Proszę! — wcisnął matce banknoty do rąk. — Niczego nie ukradłem. Może mama policzyć.

— Co to jest? — szepnęła.

— No pieniądze, te trzy tysiące, które pożyczyłem.

— Pożyczyłeś?

— Ale wcale nie dla siebie. Jurek Szretter potrzebował trzech tysięcy, musiał wysłać gdzieś, a ojciec jego miał wrócić do domu wieczorem dopiero, zapomniał mu zostawić. Więc ja od ciebie chciałem pożyczyć, ciebie nie było... może nie powinienem był sam brać, ale chciałem Jurkowi zrobić przysługę. Zaraz mi potem oddał. I byliśmy w kinie. Na ostatnim seansie.

Patrzyła na niego przez cały czas i w jego łamiącym się głosie, w jego twarzy, przez którą jak cienie i blaski przepływały wszystkie uczucia, odnajdywała całe piękno swojej miłości, bezgraniczną i z niczym się nie dającą porównać radość z odnalezienia utraconego przez pomyłkę syna.

— Mój maleńki — szepnęła przez łzy.

I po raz pierwszy od wielu, wielu lat rozpłakała się ze szczęścia. Przygarnęła Alka, mocno objęła i tuliła do siebie, jak małe bezbronne dziecko. Zmieszany tym nagłym wybuchem i łzami trwał w jej ramionach bez ruchu, prawie nie oddychając, lekko drżąc. Wyczuła to drżenie.

— Mój maleńki — łagodnie poczęła go głaskać po twarzy i zwichrzonych włosach. — Strasznie cię skrzywdziłam. Musisz mi przebaczyć, że mogłam tak wstrętnie o tobie myśleć. Nigdy już tego nie zrobię. Przebaczysz matce, prawda?

— Ależ mamo — szepnął.

— Już nic, nic. Nic nie mów. Nie myśl o tym. Mój maleńki...

— — — — — — — —

Stefka spóźniła się o cały kwadrans. Przyszła z oczami zapuchniętymi od płaczu, lecz rozzłoszczony czekaniem Słomka nie zauważył tego.

— Co ty sobie myślisz, głupia! — krzyknął na nią z miejsca z góry. — Za ile minut ci kazałem przyjść?

Dziewczyna zatrzymała się na środku pokoju i wybuchnęła głośnym, chłopskim płaczem. Na podobną reakcję Słomka nie był przygotowany. „Boi się mnie“ — pomyślał z zadowoleniem. I gniew w nim opadł.

— Już dobrze, dobrze. Nie becz.

— O Jezu, Jezu! — zaczęła jeszcze głośniej zawodzić. — Jezusie kochany...

— Przestań że, głupia! Już się przecież nie gniewam.

— A co mi pana gniewanie! Pan nic nie wie. O Jezu, kochany Jezu.

Słomka nieco się stropił.

— To czego ryczysz? W kuchni ci co nagadali?

Potrząsnęła głową.

— Nie? Więc co?

— Staśka zamordowali. Zastrzelili dranie.

Słomka zamrugał oczami.

— Jakiego Staśka znowu? Kto zastrzelił?

— Mojego Staśka. Gawlika. Nie wie pan? O łotry przeklęte! Żeby na nich Pan Bóg najcięższe konanie zesłał...

Słomka zadreptał koło niej.

— Ale co, jak, gdzie? Co za historia! Siadaj.

Usiadła i łokcie oparłszy o szeroko rozstawione kolana, objęła głowę wielkimi, czerwonymi dłońmi.

— O Jezu, Jezu! — zaczęła się kiwać całym ciałem.

— Poczekaj, po co go mieli zabijać?

— Ja wiem po co?

— Pewnie nieprawda.

— Jakże nieprawda? Jak tylko wróciłam do kuchni, przyszedł Jeziorek...

— Co za Jeziorek?

— No ten, posterunkowy, nie zna go pan?

— Znam. I co?

— Z szoferami pił przed hotelem i do nas zaszedł.

— Wódki, łobuz, chciał, co?

— No!

Człowiek nie stwarza krajobrazu. Człowiek go aktualizuje. Na skutek obecności człowieka pejzaż jakby się rozdwaja: na podłożu krajobrazu przedmiotowego, niezmiennego, obojętnego na nasze bóle i radości, powstaje krajobraz inny, lotny, współczuły. Jest to nasz osobisty wkład do przyrody. Mauriac sądził, że śmierć poety André Lafona przyćmi mu na zawsze krajobrazy, które wspólnie oglądali, że rozwieją się te powaby, które dlań miała natura jedynie dzięki obecności przyjaciela; potem spostrzegł nie bez zdziwienia, że towarzysz wędrówek odszedłszy, zwrócił w jakiś tajemniczy sposób przyrodzie ten czar, który brał od niej za życia („La vie et la mort d'un poète").

Jest to przykład na subiektywizację krajobrazu. Widok świata zależy od naszego nastroju. Poeci od dawna odkryli to prawo psychologiczne. Stąd już, teoretycznie rzecz biorąc, niedaleko było do symbolizmu. Praktycznie jednak, czyli na drodze realizacji poetyckiej, trzeba było przebyć szereg mozolnych etapów. Cyprian Godebski w pasterskim wierszu „Cyfra na jaworze" każe zauważyć dziewczynie, skarżącej się na niestałość ukochanego:

Ten głos słowika, ten szmer strumienia,
Wszystko się z stanem serca odmienia.

Jakim olbrzymim krokiem naprzód w kierunku symbolizmu jest wiersz Maurycego Gosławskiego, znającego lirykę włoską:

Łąka — to naszych uciech i radości łąka,
Strumień — to po niej strumień łez się naszych błąka.
(„Podole" cz. I.)

W historycznym rozwoju poezji dosyć biednie przedstawia się stary oślepły słonecznik z Kasprowiczowskiej ballady, który

Jużci swojego smutku
Do smutków moich nie zgina.

Symbolizm został przez „Młodą Polskę" zbanalizowany. Jakże subtelny wydaje się nam dzisiaj, po przerostach symbolizmu, mało znany poeta XVII wieku, Marcin Borzymowski, w którego „Morskiej nawigacji do Lubeka" znajdujemy śliczne określenie wody tak czystej, że sprawia cudowne skutki moralne:

A jako woda czysta — swe strumienie
Tocząc — naprawia złe ludziom widzenie.

Wielki poeta nowoczesny, R. M. Rilke, potrafił pospolitą personifikację uniezwyklić prawie ekspresjonistycznie, gdy pisał: „Kwiaty powstały i rzekły przerażonym głosem: „Czerwono" (*„Die Blumen standen auf und sagten: „Rot" mit einer erschrockenen Stimme"*).

Człowiek wobec przyrody staje się twórcą nieświadomym. Synteza czyli pokonanie rozpierzchliwości elementów, które mają być ujęte w układ krajobrazowy, wymaga duchowego wysiłku. W kontemplacji krajobrazu niemałą rolę grają zapamiętane strzępy obrazów poetyckich, reminiscencje malarskie, przypomnienia muzyczne. „W miarę jak powoli, powolniej od smutku, zamykasz powieki, słyszysz: Pejzaż Pissarra zsuwa się szeleszcząc płaskim deszczem po ścianie"... — zaczyna swój fantastyczny krajobraz Julian Przyboś („Zaokienny neon"). Są to niby punkty zahaczenia, wokół których formuje się każdy nowy układ. Dlatego biały pasący się na łąkach nowogródzkich koń wyglądał jakby przygalopował do mnie na kresy z wystawy impresjonistów francuskich, którą widziałem w Warszawie. Malarstwo spłaciło przyrodzie zaciągnięty u niej dawniej dług: koń, którego przeniosło z łąki na płótno, wrócił z powrotem na bujną, soczystą trawę... W ten sposób zamyka się czarodziejski krąg, obejmujący naturę, człowieka i sztukę.

Wacław Kubacki

KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

SPADOCHRONIARKA

Sfrunęłaś cicho, płatek śniegu topnieje wyraźniej.
Nas unosił skrzydlaty pokład ziemi przyjaznej.
Obrotem śmigła kiwnąłem ci na pożegnanie
a potem już samotny szybował
otulony przestrzenią podrzutek dobrej nadziei.

Dziewczyna lądowała w nocy: wrzosowisko ścięło
łodygę powietrza i zwiotczał jedwabny kwiat spadochronu.
A później trzeba było rozstrzygać samotnie
sprawy większe niż jedna młodość,
sprawy, które wymagały umiejętnej gospodarki
zapasem sił i wichurą sypkich włosów:
tam kroki nierozsądne odważał gram metalu.

Czekano. Nie przyszła żadna
wieść od spadochroniarki.

Dla mnie, który nie biłem się nigdy inaczej, jak w gromadzie
i znałem ledwie drobną cząstkę zbiorowej odpowiedzialności,
zostanie na zawsze posągiem, bo tylko one mogą przekraczać
ustalone proporcje męstwa i czynu.
Zostań tedy posągiem prześliczna, dziewiętnastoletnia.

LUDWIK TYROWICZ

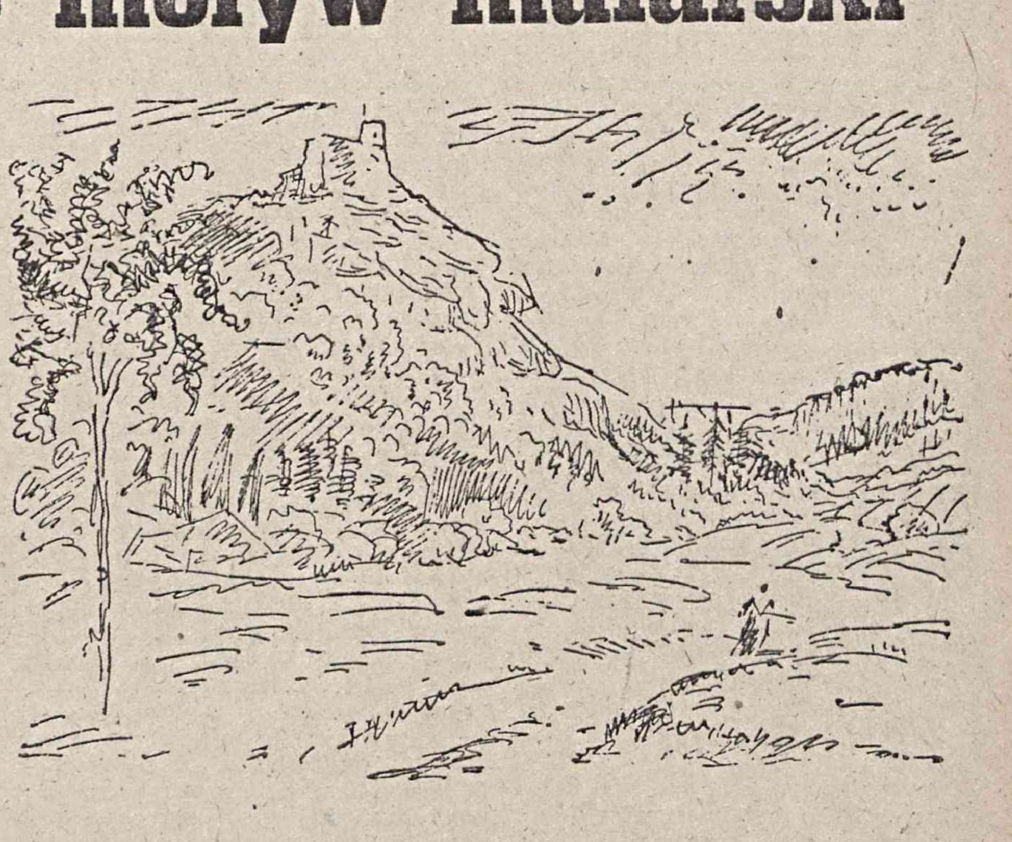
rysunki AUTORA

Dolny Śląsk jako motyw malarski

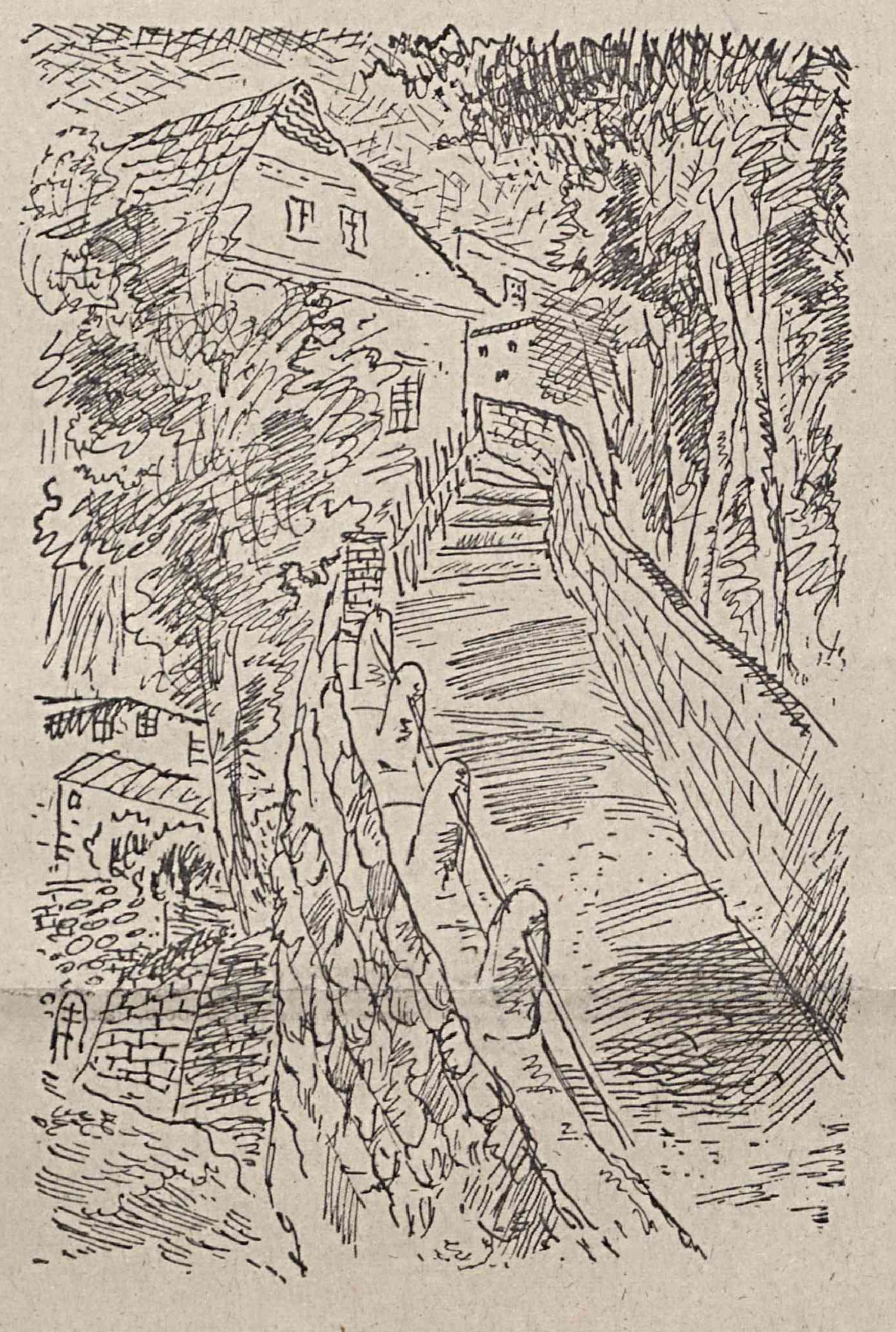
Krajobraz śląski nie doczekał się się jeszcze syntezy w plastyce polskiej. Za mało było czasu na to. Dokonujemy natomiast analizy jego oryginalnego piękna, dokumentując to znaczną ilością obrazów, szkiców, rysunków i notatek.

Malarz lub rysownik szukający motywu jako splotu wzruszeń optycznych i asumptu do pracy nie zadowala się tym, co wystarcza do zachwytu przeciętnemu widzowi. Chodzi mu o coś więcej niż o bezpośrednią siłę wzruszania, jaką posiadają zabytki i wszelkie akcesoria dla malarstwa schyłkowo-romantycznego czy obrazów dydaktyczno-dokumentarnych. Obserwując pejzaż dolnośląski znajdują plastycy taki zespół form, skojarzeń i ich kontrastów, że wpływa on pobudzająco na ich wolę twórczą i stwarza ramy dla indywidualnej konstrukcji plastycznej. Jest on bogaty nie tylko w formach, ale i w ich zmienności — co czyni go doskonałym warsztatem obserwacyj artystycznych dla różnych indywidualności. Każda problematyka plastyczna czy kierunek odczuwania może znaleźć w nim źródło natchnień.

Oczywista, że dla odkryć plastycznych, nowych, nie ma z góry przewidzianych rejonów. Chodzi jednak o pewien zespół warunków i zjawisk, które by mogły oddziaływać na większą zbiorowość twórczą, jak to się dzieje w krajach o urozmaiconym krajobrazie. Motyw pejzażowy, który się dotychczas narzucał malarzowi polskiemu, był dość jednolity, choć malowniczość jego mogła zawsze stać się „powodem malarskim". Brakowało nam jednak tej pełni i wielopłaszczyznowości krajobrazu, którą w całym przepychu posiada francuski pejzaż, a która stała się orbitą obserwacyj impresjonistów i pasjonujących dociekań Cézanne'a.



Zamek w Chojnastach



Nowa Ruda

Trzeba przyznać, że krajobraz dolnośląski, ciągnący się przysudeckim pasem, rozszerza krąg i skalę kalejdoskopu malarskiego. Nie tylko jako nowość pobudza nas. Znajdujemy w nim momenty liryzmu i konstrukcyjności w sensie płaszczyzny malarskiej. O ile liryzm objawia się w pewnym zamknięciu krajobrazu i łagodnym przenikaniu się jego planów, jeśli mowa o krajobrazie otwartym — o tyle w motywach urbanistycznych znajdujemy dramatyczną ekspresję przenikających się form przestrzennych, zduszonych na małej przestrzeni i wypychających się wzajemnie ku górze. Ta rozgrywka form, kontrastujących ze sobą dzięki barokowej dekoracyjności jak i kubicznej surowości romańszczyzny, zniewala uwagę plastyka, niepokoi i zmusza do prób i pasji przeniknięcia jej istoty. To, co dla malarza, a szczególnie dla grafika nie operującego kolorem, jest tak ważne kompozycyjnie, a więc „plan pierwszy", to narzuca się w krajobrazie śląskich miast co krok coraz to w innym kompleksie szczegółów.

Propaganda i fama „pionierów" odkryła niezwykłość Jeleniej Góry. Nie brak jej piękna. Ale malarze docierają ze szkicownikiem do różnych, jeszcze nie tak popularnych miejsc. Warto zajrzeć do cichej Bystrzycy na południu od Kłodzka, gdzie pionowa budowa miasta, surowe w sylwecie wieżyce i załamujący się na prostej architekturze światłocień wywołuje reminiscencje toskańskich miasteczek — do Nowej Rudy, gdzie spiralne narastanie miasta stwarza nieoczekiwane dla oka konstrukcje planów — do cudacznego uroczyska Wambierzyc, Kalwarii, gdzie niezliczona moc kapliczek z rzeźbami wywołuje wrażenie wielkiego muzeum figur woskowych, zaaranżowanego na „wolnym powietrzu". Ziembice ze swym bogactwem renesansowej i barokowej architektury dają złudzenie jakiejś dekoracji scenicznej, podczas gdy Kłodzko, położone u stóp fortecznego wzgórza, tchnie pewną majestatycznością rozplanowania i barokową szatą placów, ulic i mostów.

Gdziekolwiek po drodze, w wędrówce, w większym lub mniejszym miasteczku, uderzają nas nowe odkrycia motywów graficznych lub malarskich. Wystarczy zajrzeć do jakiejkolwiek większej wsi, by znaleźć cały wybór motywów, zastanawiające skojarzenia form architektonicznych i przyrodniczych, fragmenty „komponujące się w oczach", niewyszukane a zniewalające wyrazistością konstrukcji planów; oto przejścia, głazem ogrodzone dróżki, przecięte kamiennymi mostkami, odsłonięte ciężkie wrota podwórców, prowadzące do masywnych, kamiennych stodół i studni, schody nieforemne, wiodące do wzgórz kościelnych lub cmentarnych. Spokój, słońce na kolorowych murach domów, różnice fakturalne plam inspirują do pracy.

Linię widnokręgu zamykają niebieszczejące plamy pasm, sylwety miejskich wieżyc i dachów, o nierównej rytmice wykroju, lub wzgórza ustrojone w ruiny starych zamków. Na krajobrazie dolnośląskim nie zaciążyła ręka i piętno germańszczyzny. Krzyżowały się tu inne i różne prądy, ratując te zakątki przed tępym wyrazem niemieckiego planu ujednolicania.

Sądząc po dotychczasowym powodzeniu, można przypuszczać, że Dolny Śląsk ma warunki, by stać się polskim Barbizon malarstwa krajobrazowego.

Ludwik Tyrowicz

— I on powiedział?

— On.

— Pewnie był pijany? I pomylił wszystko.

— Gdzie pomylił! Powiada: wiecie, po południu dwóch z cementowni zastrzelili nad Śreniawą. Mnie od razu coś tknęło. Kogo, kogo zastrzelili? pyta Felka, ona zawsze się pierwsza rwie do takich historii. A on powiada: Smolarskiego i Staśka Gawlika. O Jezu! myślałam, że trupem padnę, tak mnie coś w środku ścisnęło. Na miejscu, powiada. Że chcieli podobno kogo innego strzelać i tych dwóch przez pomyłkę ukatrupili.

Słomka nalał koniaku.

— Napij się — podsunął kieliszek.

Z głową objętą oburącz dalej się kiwała i jęczała. Jedyne, co posiadała, to to swoje krzepkie, młode ciało. I tylko przy pomocy ciała potrafiła wyrazić swój ból. Buchało od niej dobrze nagrzanym, leniwym ciepłem. Spódnica zadarła się jej powyżej kolan, odsłaniając zarys obfitych białych ud. Słomka przestąpił z nogi na nogę.

— Napij się. Dobry koniak. Co się stało, to się nie odstanie.

Podniosła głowę, pociągnęła głośno nosem i sięgnęła po kieliszek. Wypiła.

— Chcesz jeszcze?

— A niech pan da.

— Usiądź na łóżku. Wygodniej ci będzie.

— O, jaki to troskliwy — mruknęła.

Poddała się jednak jego radzie biernie i ociężale. Szerokie łóżko miękko się pod nią ugięło.

— I jaki wstyd! — klasnęła naraz w dłonie. — Niech pan powie, coś podobnego...

— Co znowu?

— Żebym ja się musiała o takiej rzeczy od obcych ludzi dowiadywać. Tutaj mordują mi narzeczonego i z jego rodzinki nikt nawet nie raczy przyjść do mnie, powiedzieć po ludzku: tak a tak się stało. Wiedzą przecie, gdzie pracuję. To nie!

— Czasu może nie mieli?

— Ale! A jak obszczekiwać mnie przed Staśkiem, jak wrócił z Niemiec, to czas mieli. Jak te krety ciągle ryli i obmawiali. Stefka taka. Stefka owaka. Ich interes? Co pan! — szarpnęła się. — Też dobry sobie. Jak to mu pilno.

— A co? — sapnął.

— Pstro!

Po chwili uśmiech rozjaśnił jej czerwoną, od płaczu zapuchniętą twarz.

— Pokaż pan te pończochy. Jak je na pogrzeb ubiorę, to siostrę Staśka szlag z zazdrości trafi. Niech nie zadziera nosa, zdzira jedna...

— — — — — — —

— Dobrze się z panią tańczy.

— Jest pan uprzejmy.

— Nie.

— Czyżby?

— Naprawdę. Jestem podobno bardzo źle wychowany.

— Tak? Jeszcze nie miałam okazji zauważyć tego. Przyjemne to tango, prawda? Przypomina mi czasy przedwojenne. To pan, o ile się nie mylę, siedział z Andrzejem Kosseckim?

— Tak.

— Przyjaciel?

— Bardzo dobry.

— I zostawił pana samego?

— Cóż, nie jestem dziewczyną.

— Domyślam się. Czy wie pan, że nie znając pana, byłam trochę na pana zła?

— Na mnie?

— Pan Andrzej przyrzekł dotrzymać nam towarzystwa.

— Mógł to zrobić.

— Mieliście podobno tyle spraw do omówienia! Mniejsza zresztą o to. Nie mówmy o nieobecnych. Lepiej niech mi pan o sobie powie coś interesującego.

— Z jakiej dziedziny?

— Z jakiej pan chce.

— Kto jest ten młody człowiek, który siedzi przy pani stoliku?

— Fred Teleżyński.

— Nic mi to nie mówi.

— Hrabia.

— To wszystko?

— Mój Boże, wydaje mi się, że na obecne czasy to aż za wiele.

— Czy to kuzyn tej dziewczyny za barem?

— Krysi Rozbickiej?

— Rozbicka się nazywa?

— Nie wiedział pan? Ale przepraszam, zdaje się, że miał pan o sobie mówić.

— Czy nie robię tego?

— Naprawdę?

— Ależ tak!

— Obawiam się wobec tego, że miał pan, niestety, słuszność.

— Z czym?

— Ze złym wychowaniem.

— A widzi pani! Więc jak, kuzyn?

— Nudny pan jest. Czy po to mnie pan poprosił do tańca, żeby informować się o koligacjach pana Teleżyńskiego?

— Raczej panny Rozbickiej.

— Źle pan wobec tego trafił.

— Trudno. Gniewa się pani?

— Chciałam pana o coś spytać.

— Słucham.

— Czy dużo pan pił?

— Dużo. Ale to nie ma znaczenia.

— Nie ma? Szkoda.

— Dlaczego?

— Mogłabym w takim wypadku wytłumaczyć sobie wszystko nadmiarem alkoholu i nie musiałabym przerywać tańca.

— Chce pani wracać?

— Tak. I to natychmiast. Nie musi mnie pan odprowadzać.

— Dobrze.

— Więc?

— Bardzo przyjemne jest to tango, prawda?

— Zdaje mi się, że dość wyraźnie...

— Zechce mnie pani przedstawić swojemu towarzystwu?

— — — — — — —

Młody lekarz Drozdowski, który po powstaniu warszawskim pracował w tutejszym miejskim szpitalu, słuchał wynurzeń mecenasa Krajewskiego z pobłażliwym uśmiechem.

— Nie, drogi mecenasie — odezwał się w pewnej chwili — wszystko to pięknie brzmi, ale ja się już nie dam nabrać na żadną ideologię.

Krajewski się oburzył.

— Nabrać! Cóż to za określenie? W tym wypadku, uważam, zupełnie niewłaściwe.

— Moim zdaniem w każdym wypadku właściwe. Pan powiada: Londyn, świat anglosaski, Zachód, chrześcijańska cywilizacja, obrona prawdziwej demokracji...

— Sam więc pan widzi, gdzież tu nabieranie? To są trwałe, niezbite wartości.

— Słowa, panie mecenasie. Takie same wartości zadeklarują panu na Wschodzie.

— O, przepraszam, wcale nie te same. O to właśnie chodzi.

— Ale tak samo podane jako trwałe i niezbite.

— Gdzieś musi być słuszność.

— Jaka słuszność? Chce pan jakiejś nadrzędnej prawdy doszukiwać się w tym całym bałaganie? Po co?

— Drogi panie, w coś musi człowiek wierzyć.

— Zawracanie głowy. Też słowa Musi! Dlaczego? Ja się wolę nie łudzić. Parę razy dałem się już nabrać na tak zwane prawdy. Dziękuję pięknie, mam dość. Więcej się nie bawię. Nie mam ochoty raz jeszcze poparzyć sobie palców. Komu mało, proszę bardzo. Wszyscy, panie mecenasie, bujają. Sanacja kłamała, podziemie kłamało, teraz dla odmiany też kłamią, wszystko razem do kupy wzięte jest jedną wielką bujdą. Każdemu o to tylko chodzi, aby się dorwać do władzy. A słowa, hasła, tak zwane idee? Znamy się na tym.

Platynowa blondynka z zachwytem wpatrywała się rozszerzonymi i przymglonymi oczyma w przystojnego doktora. Ze swoją kształtną, okrągłą głową, którą czarne włosy okrywały jak lśniący hełm, z cerą oliwkową i mocno zarysowaną szczęką, o rękach, które w przegubie ciemniały silnym zarostem, wydawał się jej przyćmionej przez alkohol i podniecenie wyobraźni uosobieniem nowoczesnego mężczyzny. Wszystko, co mówił, każde słowo wypowiedziane jego głosem znajdowało doskonałe potwierdzenie w jego ciele.

Reszta towarzystwa, skupiona dokoła dziewczęco świergoczącej Hanki Lewickiej, nie interesowała się ich rozmową. Krajewski robił wrażenie zmęczonego. Zdjął właśnie grube, rogowe okulary i powoli je przecierając chusteczką, patrzył przed siebie wypukłymi i przygaszonymi oczyma krótkowidza.

Drozdowski spojrzał na niego z nieukrywanym politowaniem.

— Tak, tak, mecenasie. Trzeba to sobie wyraźnie powiedzieć. Po tej wojnie koniec z wszelkimi prawdami. Za dużo widzieliśmy kuglarzy i prestidigitatorzy zdemaskowali swoje sztuczki. Koniec szantażu.

Krajewski dalej przecierał szkła.

— I co w takim razie zostaje według pana?

— Bardzo dużo, mecenasie. Życie zostaje.

— Ach tak? — skrzywił się tamten. — Pełnia życia, dynamizm Jeszcze élan vital?

— Po co élan vital? Można się obejść bez tych wszystkich formuł, dodatków i frazesów. Po prostu życie, które nie ma żadnego sensu

— Jednak?

— Cóż? Stwierdzić, że coś nie ma sensu, to już jest pewien sens.

— Wspaniale to pan powiedział zawołała platynowa blondynka.

Mecenas energicznym ruchem włożył okulary.

— A ja panu powiem, co to jest — stuknął palcem w blat stolika.

— Nihilizm? — roześmiał się doktór.

— Gorzej. Śmierć. Tak, tak. niech się pan śmieje. To już nie jest choroba. To po prostu śmierć

— Panie mecenasie! — zaprotestowała blondynka.

Krajewski poruszył się niecierpliwie.

— Śmierć, śmierć — powtórzył z naciskiem, całym sobą pochylając się nad stolikiem, jakby chciał tym ruchem podkreślić ostateczną prawdziwość i nieodwołalność swego wyroku.

Drozdowski wcale się tym nie przejął.

— Bardzo mi przykro, panie mecenasie, ale nie czuję się nieboszczykiem. Staram się tylko zachować trzeźwość rozsądku i nie patrzeć na świat przez kolorowe szkiełka. Brać go takim, jakim jest. I wyciągnąć z tego dla siebie właściwe wnioski.

— Wyobrażam sobie, jakie to mogą być wnioski — mruknął mecenas.

— Bardzo proste. Pan jest, mecenasie, o ile się nie mylę, wierzącym katolikiem?

— Jestem.

— No więc! Interesuje pana zatem, mam nadzieję, gdzie się pan ulokuje po śmierci, w niebie, czy w piekle?

Mecenas poprawił okulary.

— Drogi panie, nie trzeba znowu tego tak upraszczać, nie żyjemy w średniowieczu. Oczywiście, że wierzę w wymiar wyższej sprawiedliwości...

— A ja nie. Nic mi w tej materii nie jest wiadome i co ważniejsze, nic a nic mnie to wszystko nie obchodzi. Tak samo nic mnie nie obchodzą wszystkie tutejsze ideologie. Chcę przyjemnie przejść przez życie, to wszystko. I ostatecznie, o czym my dyskutujemy, panie mecenasie? Czy panu, mówiąc między nami, nie zależy na tym samym?

Mecenas nie zdążył odpowiedzieć, gdy do stolika podszedł Kotowicz. Natychmiast zrobiono mu miejsce.

— Uff! — usiadł, obcierając swoje wspaniale sklepione czoło. — Nie wyobrażacie sobie państwo, co za historie z Seiffertem i Kochańską. Pozwólcie mi chwilkę odetchnąć.

Nalał do szklanki trochę wina, wzburzył je wodą sodową i powoli począł pić szprycer. Wszyscy dokoła pochylili się z zainteresowaniem.

— Co się stało? Pozabijali się?

— Niewiele brakowało. Wielka scena, powiadam wam. On nago jak go Pan Bóg stworzył, ona w wieczorowej tualecie...

Hanka Lewicka szeroko otworzyła swoje niebieskie, naiwne oczy.

— Jakto nagi? Co pan chce przez to powiedzieć?

— To, co mówię — zaśmiał się Kotowicz. — Dosłownie nagi, bez żadnej przenośni. Wspaniała scena! Trochę przydługa i męcząca, ale warta zobaczenia.

— Ale dlaczego nagi? — wróciła do swego Hanka Lewicka.

Wszyscy poczęli się śmiać. Lewicka zrobiła nadąsaną minkę.

— Czego się śmiejecie? Przecież nie powiedziałam chyba nic głupiego. Wstrętni jesteście. Dyrektorze kochany — zwróciła się do Kotowicza — dlaczego oni się ze mnie śmieją?

(c. d. n.)

ZOFIA LISSA

MICHAŁ GLINKA W WARSZAWIE



Michał Glinka

W r. 1830 Michał Iwanowicz Glinka, „radca tytularny", późniejszy kapelmistrz carskiej kapeli w Petersburgu i „ojciec muzyki rosyjskiej" — wyjeżdżał po raz pierwszy za granicę. Za granicę, oczywiście dyliżansem, w kierunku na Warszawę, która była jednym z ważniejszych etapów podróży. Odprowadzała go „matuszka" i „człowiek Aleksiej" — skrzypek.

Leczony „homeopatią i allopatią", magnetyzmem i kataplazmami, pigułkami i wywarami z ziół, wiecznie chory i cierpiący, jechał na południe, przez Wrocław i Drezno do Wiednia i Włoch — tym samym mniej więcej szlakiem i traktem, jakim półtora roku później w innych celach i w inną nieco stronę wyruszy Fryderyk Chopin. Dbałość o zdrowie nie była jedynym powodem wojażu. Glinka nie mógł znieść ciśnienia biurokratycznej atmosfery i zakłamania kamaryli dworskiej czasów Mikołaja. Régime, który wygubił kwiat inteligencji rosyjskiej owego czasu, uczynił wszystko, by i Glince uniemożliwić życie w ojczyźnie. Ciągnący się wiele lat proces rozwodowy zatruwał mu życie, a gdy do tego dołączyło się niepowodzenie jego opery „Rusłan i Ludmiła", Glinka pisze: „...dla mnie nie ma życia w Rosji...", „zabierzcie mnie stąd — ja tu dość się nacierpiałem. Zdołano odebrać mi tu wszystko, nawet entuzjazm dla mojej sztuki — moją ostatnią nadzieję".

Toteż Glinka jeździł za granicę kilka razy i przebywał tam latami. Warszawa była dlań miejscem postoju i w czasie podróży w roku 1830, i w następnej w r. 1842, i w ostatniej w r. 1857 — do Berlina, gdzie miał zakończyć życie. Wyjeżdżał i wracał zawsze przez Warszawę, gdzie, jak pisze, za każdym razem doskonale się bawił. A bawić się Glinka lubił i umiał. Ale Warszawa była dla Glinki nie tylko etapem. Nie mogąc znieść surowego klimatu swojej ojczyzny, za poradą lekarzy osiedlił się w Warszawie, na długo, bo prawie na trzy lata.

„W r. 1848, nie bacząc na wypadki w Paryżu, wniosłem znów prośbę o paszport i wyprawiłem się znów do Warszawy..." pisze Glinka w swym pamiętniku. Miasto spotkało go łagodną aurą, wczesną wiosną i okrutną przygodą. Zaraz po przyjeździe wyszedł ze swoim kolegą Hiszpanem na ulicę i tu o mało nie został stratowany przez generała Paszkiewicza za to, że jego towarzysz... nie zdjął przed satrapą kapelusza. Zniechęcony, byłby natychmiast wyjechał, gdyby nie choroba, która wywiązała się wskutek przygody. Będąc pod opieką warszawskiego lekarza Maurycego Wolffa nawiązuje stosunki towarzyskie z rodziną bankiera Koniora, bywa u nich, akompaniuje na fortepianie pannie Katarzynie Konior i — jak zawsze kochliwy — wbrew postanowieniu pozostaje w Warszawie.

Zamieszkał przy ulicy Rymarskiej; zawołany ptasznik zamienia mieszkanie w ptasie gniazdo. Oddał ptakom pół swego pokoju, przedzieliwszy go przepierzeniem. Ale na dobre zagospodarował się dopiero wtedy, kiedy — jak pisze — „wpadła mi w oko w jednej kawiarence dobrze zbudowana i dość miła z wyglądu dziewczyna imieniem Aniela. Zaprosiłem ją do siebie i tak już pozostała u mnie w roli gospodyni. A że była sprytna, wesoła i wszechstronna... więc żyliśmy sobie wcale dobrze".

W jesieni 1848 r. wybuchła w Warszawie cholera. Ulicą Rymarską pod oknami mieszkania Glinki ciągnęły codziennie pogrzeby. Hipochondryk, ciągle zażywający lekarstwa, zwolennik homeopatii — wpadł w grobowy nastrój. Przestał wychodzić z domu. Komponował romanse do słów Lermontowa i Puszkina, napisał arię i pieśń Małgorzaty z „Fausta", bawił się ptakami, ale tygodniami nie wyglądał z domu. W tym czasie pisze i kończy swoją świetną fantazję symfoniczną na temat dwóch pieśni rosyjskich, tzw. „Kamarinskaja". Na rękopisie partytury znajduje się ręką kompozytora zanotowana uwaga: „19 października (1 listopada) 1848, Warszawa".

Gdy epidemia minęła, w przytulnym mieszkanku na ulicy Rymarskiej zaczęli bywać przyjaciele i znajomi, spędzano czas dość wesoło. „Wieczorami schodzą się znajomi, gościom podaję herbatę i poncz, żeby rozgrzać żołądek, a potem w tym samym celu (tj. aby rozgrzać żołądek) zaczynają się tańce. Aniela tańczy wyśmienicie, a jeśli potrzebne dodatkowe pary, to dwie dość młode dziewczyny, kucharka i pokojówka, dotrzymują towarzystwa. Prócz ptaków, które latają za siatką, po salonie biegają dwa oswojone zające..."

Sielanka trwała niezbyt długo. Aniela zaczęła kaprysić i Glinka rozstał się z nią po kłótni. Ale wtedy nawinęły się inne obiekty dla jego zapałów miłosnych: córki lekarza Grünberga, Julia i Izabella, grały i pięknie śpiewały, i kochliwy kompozytor w ich towarzystwie szybko zapomniał o Anieli.

Jesienią odwiedził matkę w Petersburgu. Znała ona tak dobrze swego syna, że w listach (zwłaszcza do Hiszpanii) upominała go wielokrotnie: „Synu, pamiętaj, że w Hiszpanii mężowie są zazdrośni, a sztylety ostre...". Ale już wiosną 1849 r. Glinka znów jest w Warszawie. Teraz zajął mieszkanie przy ulicy Niecałej, okna wychodziły na ogród Saski i topole zaglądały do mieszkania. Szum ich gałęzi często sprowadzał chandrę na kompozytora.

Ratowało go nowe zainteresowanie — muzyka organowa, której przysłuchiwał się chciwie w kościele ewangelickim. Zaprzyjaźnił się z organistą Augustem Freyerem.

Ale temperament Glinki nie godził się z kontemplacyjnym trybem życia. Starzy znajomi i oficerowie ciągali go lokalach: Glinka zaczął uczęszczać w tej kompanii do kawiarni Ohma, niekiedy nocą przełażąc z młodymi porucznikami przez płot. Zaprzyjaźnił się z dwiema młodymi córkami właściciela kawiarni, Emilią i Różą. Dla Emilii napisał pieśń do słów Mickiewicza „Rozmowa". Uczył ją gry na fortepianie i śpiewu, wzamian ucząc się u niej mówić po polsku, pomagając jej zbierać w sadzie owoce. Ta idylla warszawska ciągnęła się długo.

W październiku 1849 r. przeprowadził się na ulicę Długą naprzeciw Arsenału, ale z rodziną Ohmów utrzymywał nadal żywe stosunki.

To u nich poznał muzyka Karola Kurpińskiego, byłego dyrektora opery warszawskiej, i zaprzyjaźnił się z nim głęboko i trwale. Często przebywali ze sobą. Glinka wyraża się w swych wspomnieniach o Kurpińskim w słowach najwyższego uznania: „Był to człowiek światły i z wielką satysfakcją rozprawialiśmy o sztuce".

Z muzykami polskimi stykał się zresztą Glinka kilkakrotnie już wcześniej na terenie rosyjskim. Od r. 1828 datuje jego znajomość z rodziną Marii Szymanowskiej. U Szymanowskich odbywały się stałe wieczorki muzyczne, na których Glinka bywał z początku jako słuchacz, potem jako akompaniujący maestro, na koniec jako kompozytor. Tam też poznał Mickiewicza. O Szymanowskiej jako kompozytorce Glinka był pochlebnego zdania, o czym świadczą zarówno jego własne słowa, jak i fakt, że umieścił jej kompozycję („Wilia") w swoim „Lirycznym albumie", wydanym łącznie z ks. Golicynem i Pawliszczewem. Znajomość z Mickiewiczem dała kompozytorowi asumpt do napisania pieśni do słów poety („Rozmowa" i „Dziewczę miłe").

Prócz rodziny Szymanowskiej z Polaków najbliżsi mu byli Wielhorscy. Bracia Michał i Mateusz Wielhorscy, obydwaj bardzo zresztą zrusyfikowani, zbierali u siebie amatorów muzyki na koncertach kameralnych. U Wielhorskich odbył się pokaz pierwszego aktu „Iwana Susanina" Glinki. Uwagi Michała uznawał Glinka za cenne i słuszne. „Za polski taniec — na jednej z prób — orkiestra oklaskiwała mnie szczególnie gorąco" — wspomina kompozytor. Wprawdzie obraziła Glinkę w parę lat później krytyka „Rusłana" Wielhorskiego, ale potem uznał ją za słuszną i nawet jemu oddał partyturę opery dla poczynienia niezbędnych skrótów.

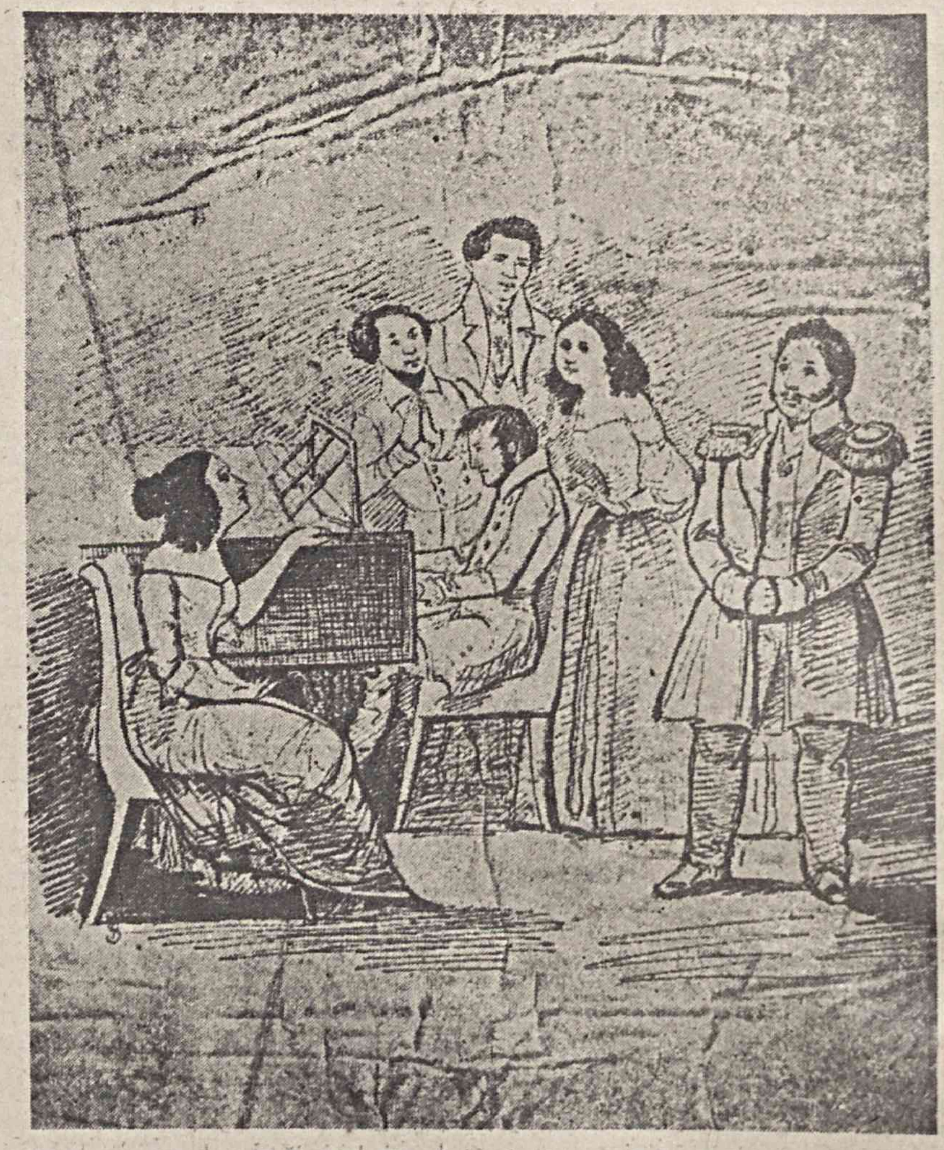
Prócz Szymanowskich i Wielhorskich zbliżył się Glinka ze słynnym polskim skrzypkiem owego czasu, konkurentem Paganiniego — Karolem Lipińskim, którego grę — zwłaszcza kameralną — kompozytor rosyjski wysoko sobie cenił i chwalił. Jego wykonanie sonat beethovenowskich na wieczorach u poety Kukolnika, przyjaciela Glinki, wprowadzało Glinkę w prawdziwy zachwyt.

Dziwnym trafem, mimo pobytu w Paryżu w r. 1845, Glinka nie zetknął się ani razu z Chopinem. Być może dlatego, że interesowali go raczej kompozytorzy operowi i symfoniczni, tacy jak Meyerbeer i Berlioz, dość obcy i dalecy Chopinowi.

Natomiast niewątpliwie zetknął się ze Stanisławem Moniuszką. Moniuszko był w r. 1849 w Petersburgu, gdzie odbyło się kilka jego koncertów kompozytorskich, między innymi wykonanie kantaty „Milda" i uwertury koncertowej „Bajki". Jak podaje Niewiadomski w swej monografii o Moniuszce — wśród zachwyconych krytyków i entuzjastów polskiego kompozytora byli również koryfeusze muzyki rosyjskiej, Glinka i Dargomyżski. W notatkach Glinki nie ma jednak wzmianki o tym spotkaniu z Moniuszką. Że muzyka polska interesowała i pociągała Glinkę, o tym najlepiej świadczy choćby cały „polski" akt w jego bohaterskiej operze „Iwan Susanin" (pierwotny tytuł „Życie za cara"), gdzie pojawiają się doskonały muzycznie polonez, krakowiak i mazur. Jak Glinka znał i wysoko cenił muzykę Chopina, świadczy fakt, że ostro skrytykował „kotletowy" sposób wykonywania jego utworów przez Liszta. Ciekawe, że jedyna wzmianka, poświęcona w pamiętnikach Glinki Chopinowi, odnosi się do Chopina jako pianisty, którego widocznie słyszał w Paryżu, gdyż charakteryzuje go jako jednego z najlepszych pianistów swego pokolenia.

Mimo trzyletniego prawie pobytu w Warszawie i mimo polskich sympatii Glinka nie szukał bliższego kontaktu z warszawskim światem muzycznym. Poza nielicznymi polskimi znajomymi ograniczał się raczej do towarzystwa kobiecego. Kochliwy i, trzeba przyznać, mało wybredny w tej dziedzinie, czuł się dobrze w towarzystwie, które może nie zawsze odpowiadało poziomowi jego twórczości. Gdy w r. 1850 przeprowadził się na Nalewki do domu Natansona, w przestronnym i czystym mieszkaniu przyjmował u siebie — jak pisze — „młode gryzetki, które całym rojem tańczyły i rozweselały towarzystwo".

W r. 1851 wyjeżdża z Warszawy do Petersburga, osiada z siostrą i z ulubionymi ptakami w Carskim Siole, gdzie prowadzi życie ciche i skromne (wedle słów jego siostry, Ludmiły Szostakowej, twierdził zawsze: „laurów nie lubię ani w zupie, ani na głowie"). W r. 1857 udaje się do Berlina, gdzie w lutym umiera.



Glinka wśród przyjaciół. Od lewej: Stuniejewa, Dargomyżskij, Artemowskij, Glinka, jego narzeczona i Stuniejew

W lutym roku bieżącego Związek Radziecki obchodził 90-lecie śmierci Michała Glinki szeregiem koncertów. W Moskwie Muzeum Kultury Muzycznej zorganizowało wspaniałą wystawę, ilustrującą twórczość i epokę, w której działał Glinka.

W historii muzyki rosyjskiej znaczenie Glinki jest ogromne: stał się punktem wyjścia jej rozwoju w wieku XIX. **Glinka był** prekursorem narodowej szkoły w muzyce rosyjskiej. Miejsce jego — mutatis mutandis — jest prawie tak ważne jak Chopina w muzyce polskiej. Mimo całej różnicy skali talentu obu kompozytorów, skali, kierunku zainteresowań i całego profilu twórczego, ich funkcja historyczna w rozwoju kultury muzycznej swoich krajów jest zbliżona.

W związku z rocznicą nie od rzeczy było przypomnieć, że fragment swego twórczego życia Glinka spędził w Warszawie, i że pobyt ten znalazł odbicie w jego twórczości.

Zofia Lissa



M. Glinka z siostrą Pelagią

Nowe wydanie „Nieba w płomieniach"

Jeszcze przed pierwszą wojną światową prof. W. Hahn wydał książeczkę, omawiającą motyw „nawrócenia w literaturze polskiej". Przyczynek ten nasuwał ciekawe wnioski. Charakterystyczność ich tkwiła nie tyle w tym, że uczonemu badaczowi udało się wyszukać niewiele przykładów motywu nawrócenia w utworach naszych powieściopisarzy czy poetów, ile że wyłowione przez niego przykłady wyczerpały niemal w całości problematykę konfliktów religijnych w naszej literaturze. Motyw nawrócenia był więc czymś w rodzaju uświęconego kanonu, którego obowiązującej mocy podporządkowywali się wszyscy pisarze, podejmujący w swoich utworach próbę odzwierciedlenia przeżyć religijnych: mówiono tylko o powrocie do wiary, a odejście, które musiało przecież przedtem nastąpić, pokrywano milczeniem.

Na tym tylko tle zrozumieć można huczek, jaki przed dziesięciu laty podniósł się wokół pisarzy, którzy pierwsi wyłamali się spod przyjętego u nas niejako umownie kanonu i zanalizowali odwrotny proces psychologiczny i intelektualny, proces odchodzenia od wiary. Pisarzami tymi, podejmującymi ten motyw niezależnie od siebie i w odmienny zresztą sposób, byli Emil Zegadłowicz i Jan Parandowski.

Powieść Parandowskiego „Niebo w płomieniach" (*) różni się od „Zmór" Zegadłowicza nie tylko klasą pisarską i odmiennym temperamentem jej autora, ale również tym, że Parandowski ograniczył analizę przeżyć swojego młodego bohatera, przeżyć rozsadzających ciasne ramy szkoły, i przesunął jej akcent prawie wyłącznie na opis przełomu religijnego. Sprawy, które w młodości grają zwykle wielką rolę, a więc pierwsza miłość czy też budząca się w związku z sytuacją polityczną świadomość obowiązku pracy niepodległościowej, nie zazębiają się u bohatera Parandowskiego z jego konfliktem religijnym i opanowują go dopiero wtedy, kiedy zdołał się uporać ze swoją sprawą odejścia od wiary. Takie ujęcie pozwoliło Parandowskiemu uniknąć wielu drastyczności, których uniknąć wcale nie silił się np. Zegadłowicz. Niemniej jednak w huczku, jaki towarzyszył ukazaniu się „Nieba w płomieniach", było niemal tyleż posmaku skandalu co przy ukazaniu się „Zmór".

Wynikło to stąd, że pewna część krytyki nie oceniła właściwie zamysłu autora. Parandowski chciał dać obiektywne studium psychologiczne z terenu przeżyć religijnych, a ściślej odchodzenia od wiary pod wpływem poznanych teoryj naukowych, co było dosyć typowym zjawiskiem w opisanej w powieści epoce sprzed pierwszej wojny światowej. Mniejsza o to, że Parandowski dzisiaj zbliża się do pozycyj katolicyzmu, że w przedmowie podkreśla te miejsca powieści, które wskazywały z góry, że zapowiadana dalsza część przygód bohatera stanie się jeszcze jednym przykładem nawrócenia. — „Niebo w płomieniach" odznacza się zdecydowanym obiektywizmem w stosunku do spraw wiary i ten obiektywizm stał się dla wszystkich dzisiaj widoczny.

W twórczości Parandowskiego, rozpoczętej jeszcze w 1913 r. szkicem o Rousseau, „Niebo w płomieniach", jest właściwie jedyną dotąd pozycją powieściową we właściwym sensie. Inne jego dzieła, nawet powieść biograficzna o Oskarze Wilde „Król życia" (rozwinięta z essayu „Antinous w aksamitnym berecie"), 1920, mają charakter utworów z pogranicza essayu, krytyki literackiej czy nauki, wynikłych z rozmiłowania w sztuce i filozofii. To specyficzne kształtowanie się osobowości pisarskiej Parandowskiego musiało się odbić i na „Niebie w płomienach": nie jest to bowiem powieść, napisana przez powieściopisarza, którego pasjonują pewne zagadnienia intelektualne (jak np. Nałkowską), ale powieść napisana (z świetną kulturą i talentem) przez essayistę, który nie tyle nawet urabia materiał powieściowy pod kątem pewnego problemu, ile raczej pragnie na nim zademonstrować te czy inne problemy.

Akcja „Nieba w płomieniach" rozgrywa się we Lwowie na przestrzeni kilku lat przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Bohater powieści, uczeń gimnazjalny, Teofil Grodzicki, jest synem radcy dworcu. Otwierało to możliwość spojrzenia na trzy środowiska: urzędnicze, mieszczańskie i szkolne. Parandowski jednak nie wyeksploatował powieściowo tych środowisk tak, jakby przystało na znawcę i wielbiciela Flauberta. Pokazał je jedynie w marginesowych szkicach (niekiedy w dużym stopniu sugestywnych), pragnął bowiem cały wysiłek skupić na zobrazowaniu religijnego konfliktu bohatera. Tę też sprawę, jak już stwierdziłem, trzeba traktować jako istotny temat i główny akcent powieści.

Jest to sprawa o swoistej wymowie. Konflikt Grodzickiego rozgrywa się właściwie całkowicie na płaszczyźnie abstrakcyjnej, przeradza się, jak zresztą sam autor to stwierdza w komentarzu, w abstrakcyjną „namiętność intelektualną". Wiarą Grodzickiego zachwiały wiadomości o teoriach naukowych. Przedzierając się przez stosy coraz to nowych książek, usiłuje on znaleźć ostateczne i niezachwiane podstawy dla swojej niewiary. Parandowski - essayista jest tu w swoim żywiole, olśniewa erudycją w sprawach zarówno apologetyki, jak i filozofii pozytywizmu. Dialogi Teofila z kolegami, prof. Kosem, z ojcem i starym astronomem Kaliną, aczkolwiek nie wypaczają linii kompozycyjnej powieści, są właściwie wstawkami na wzór znanego gatunku „dialogów filozoficznych".

W konflikcie, przeżywanym przez Teofila, istotnie—jak stwierdza autor w przedmowie — jest coś, co „wyraża nastrój umysłów tamtej epoki". Tamta właśnie epoka, nie mogąca jeszcze przetrawić filozofii XIX w. i rozeznać się o tyle w zamęcie idei, aby zdobyć miarę rzeczywistości, wydawała sporo podobnych wypadków. Niemniej jednak jest to konflikt sztuczny, konflikt indywidualizmu rozwijającego się w próżni, typowo inteligencki. Sztuczność ta przeniesiona na karty „Nieba w płomieniach" na podstawie obserwacji, (całkowicie trzeba się bowiem z autorem zgodzić, kiedy mówi o „niepodrabianym rodowodzie" tego rodzaju przeżyć), zostaje w powieści wyjaskrawiona w swoim nierealnym charakterze wskutek tego, że Teofil w czasie swoich rozterek nie był postawiony wobec konieczności wyboru czy też uświadomienia sobie norm postępowania w życiu, co by zmusiło do przymierzenia z rzeczywistością tej walki Don Kichota z abstrakcyjnymi wiatrakami i stało się zaczątkiem kształtowania się realnego, a nie tylko książkowego światopoglądu bohatera.

Teofil tkwił jednak „pośród słów, pojęć, abstrakcyj". Podkreśla to zresztą sam autor, który wszakże, zajęty wyłącznie analizą stanów i myśli tej jednej postaci, nie starał się jego życiu w próżni nic przeciwstawić, aby wstrząsnąć nim i jego nieco naiwnym, pełnym narcyzmu ukontentowaniem z posegregowania poszczególnych kwestyj. To, że na czas trwania konfliktu religijnego życie Teofila staje właściwie w miejscu, że konflikt ten jest w nim tylko zjawiskiem intelektualnym, a nie uczuciowym, było ułatwiającym zadanie wybiegiem autora i stanowi z tego względu pewien niedowład w postawieniu problemu. Wynika on niewątpliwie stąd, że „Niebo w płomieniach", aczkolwiek wiele w nim miejsca zajmują sprawy filozofii (jest to jednak, niestety, tylko demonstracyjna rewia pewnych poglądów), nie odkrywa żadnego aspektu filozoficznego w samym kształtowaniu materiału, nie ukazuje narastania dynamicznej, niekoniecznie zawsze świadomej, roli światopoglądu, który każe ludziom postępować tak, a nie inaczej. Powieści Parandowskiego brak tego rodzaju spojrzenia na rzeczywistość, bez którego trudno sobie właściwie wyobrazić powieściopisarstwo.

Jeszcze więcej z Parandowskiego essayisty, cieszącego się zasłużoną sławą wykwintnego i nieporównanego stylisty, odnajdujemy w stylu „Nieba w płomieniach". W powieści psychologicznej, opartej przede wszystkim, jak w tym wypadku, na technice opisu, słowo jako narzędzie precyzacji posiada ogromne znaczenie. W wypadkach, kiedy trzeba dać relację o pewnych faktach, których znajomość jest niezbędna do zarysowania toku akcji, narzędzie to nie zawodzi Parandowskiego. Więcej natomiast zastrzeżeń budzi wypróbowany styl Parandowskiego, jako narzędzie psychologicznej introspekcji. Jest to bowiem styl nazywania a nie przedstawiania, styl, który mimo całej swojej niezaprzeczonej piękności, stwarza dystans w stosunku do opisywanych zjawisk, nie przybliża, lecz oddala je, a czasem w kaskadzie pięknych zwrotów gubi ich istotę, zaciera ich jedyność i niepowtarzalność, która jest niemożliwa do ujęcia wypracowanym i zastygłym według ustalonych z góry kanonów piękna stylem essayisty. Stylem, który jest bezsprzecznie świetny i podatny w dziedzinie konstrukcyj myślowych, ale nie wystarczający, bo nie odkrywczy w dziedzinie kształtowania materiału powieściowego.

H. E Michalski

*) **Jan Parandowski.** Niebo w płomieniach. Wydanie trzecie. (Kraków), „Czytelnik", 1947; str. 278 i 2 nl.

W sprawie książki

„ŚMIERĆ MIASTA"

Na skutek orzeczenia Sądu Polubownego Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza" prosi o zamieszczenie następującego oświadczenia:

Wydana przez Spółdzielnię Wydawniczą „Wiedza" książka pt. „Śmierć miasta", pamiętnik Władysława Szpilmana, opracował Jerzy Waldorff — według karty tytułowej, a Władysław Szpilman „Śmierć miasta" — według okładki, zgodnie z umową wydawniczą z dnia 19 czerwca 1946 r. jest wspólnym dziełem Władysława Szpilmana i Jerzego Waldorffa, za które obaj solidarnie odpowiadają.

Opuszczenie nazwiska Jerzego Waldorffa na okładce książki wynikło z niewłaściwego interpretowania umowy oraz częściowo z potrzeb układu graficznego.

Zmiany wprowadzone do tekstu drukowanej książki zostały dokonane ze względów niezależnych od wydawcy, jednak bez dostatecznego porozumienia się z Jerzym Waldorffem.

K. 160-1

Szkoła krytyków

Nad „Popiołami"

O każdej porze roku, a na przednówku szczególnie, lektura klasyków powinna być obowiązkiem młodego krytyka. Nie tylko młodego. Ogłoszony w „Kuźnicy" wstęp do „Lalki", pióra Jana Kotta, dowodzi, że lektura taka, jeśli ją przeprowadzić cierpliwie i z dala od utartych sugestyj, nie mniej pożytku przynosi krytykowi co czytanemu uważnie dziełu.

„Popioły" Żeromskiego nie dorównują „Lalce" czy też — by pozostać przy ich gatunku tematycznym i przy Prusie — „Faraonowi". Dalekie od równowagi w skomponowaniu wielkiej całości, dalekie od równomiernego przeprowadzenia wszystkich rozpoczętych wątków — „Popioły" są dziełem typowym dla Żeromskiego. Obok stronic i całych rozdziałów przynależnych do najwyższej klasy naszej prozy — nużące zatoki liryzmu lub żywcem przepisane z archiwów referaty. Najgrubsze nieprawdopodobieństwa obok świetnych typów ludzkich. Żołnierze zorientowani, co się dzieje na całym polu bitwy, czy całym teatrze wojny, patrole, które spowiadają się napotkanemu przybyszowi, a równocześnie takie sylwetki żołnierskie jak Sokolnicki, Wyganowski. Werbalistyczny patos obok drapieżności obserwacji. Kossak i Goya, „Bitwa pod Raszynem" i „Okropności wojny".

A przecież „Popioły" odczytane tak, jak czytać należy dzieła podobne, uważnie i bez odziedziczonych wmówień, odsłaniają wiele niespodzianek. W jednym szczególnie względzie. W obrazie epoki napoleońskiej. Czyta się te partie powieści, jakby patrząc w zwierciadło niedawno przeżytych lat. Temat napoleoński zawiera niejedną analogię z drugą wojną światową. Zawiera, chociaż nie można tych epok utożsamić. Nie można motywów cezaryzmu faszystowskiego wyjaśniać podobieństwami psychologicznymi z cezaryzmem napoleońskim. Inne idee, postępu i wolności, niosły na swoich bagnetach armie Napoleona. Innym siłom, wstecznictwa i barbarzyństwa, służyły dywizje hitlerowskie. Ale rdza cezaryzmu plami niejedno z posunięć strategicznych i politycznych pierwszego cesarza Francuzów.

Stąd analogie sytuacyjne i psychologiczne występują niekiedy w postaci tak uderzającej, że wciągają uwagę skrupulatniejszego czytelnika. Cezaryzm Bonapartego i Hitlera odwołuje się często do podobnych impulsów w jednostkach, podobne wyświetla marzenia o nieposkromionej mocy zdobywców, podobnie błyskawiczne wywołuje kariery i upadki, w podobnym wreszcie zamiera jałowym kwasie znużenia wśród tych, którzy dali się omotać. Którzy nie dla idei służyli, lecz dla służby samej. Smak tego kwasu jakże był znany staremu Fredrze, kiedy spisywał „Trzy po trzy", najpiękniejsze, jakie posiadamy, świadectwo napoleoniady.

Lecz nie sam temat nadaje aktualność ujęciu Żeromskiego. Nadaje ją sztuka ujrzenia w latach napoleońskich identycznych napięć i sprzeczności, jakie przechowało zwierciadło naszej pamięci. Zadanie tym trudniejsze, że wypełnione wbrew tradycyjnemu spojrzeniu legendy. Ignacy Rzecki w „Lalce" umie się zdobyć na opis batalistyczny przekreślający całą tradycyjną batalistykę polską, opis wzięty z bitwy pod Waterloo w „Pustelni Parmeńskiej" Stendhala, ale jego myślenie polityczne na temat napoleoński nie różni się od nadziei hreczkosiejów w książkach Klemensa Junoszy.

Wbrew legendzie. Cóż bardziej znamiennego w tej mierze niż stałe zainteresowanie pisarza dla postaci Sułkowskiego. Nie polski Bayard, jak chrzci go legenda historiozoficzna, nie Poniatowski przyciąga jego uwagę, ale — powiedzmy to z pewną przesadą — kondotier. Później kondotier złamany, gdy dojrzał swój prawdziwy los, ale złamany dopiero w tragedii noszącej w tytule jego nazwisko — „Sułkowski". Bo Żeromski wie doskonale, że po stronie cezarów Bayardowie są tylko pionkami, a ich czyny bywają niepojęte. Żeromski pamięta zdziwienie Napoleona, gdy książę Józef przyprowadził mu resztkę wojska polskiego po oddaniu naszych ziem w odwrocie spod Moskwy.

Kondotier. Z jakim zgryźliwym przekąsem opowiada Sułkowski Gintułtowi o tych — jego zdaniem — poczciwcach ideowych, którzy gromadzą się wokół Dąbrowskiego, gdy on — gdy on pić pragnie wprost ze źródła mocy. Nietzscheanista avant la lettre. Bo ten sam nauczyciel fałszywie pojmowanej mocy, którego naukami narkotyzowali się ideologowie faszystowscy, rzuca w „Popiołach" światło na przeszłość. Pozwala dojrzeć motywy w całej pełni potwierdzone przez następny, przez nas przeżyty wybuch cezaryzmu.

„Popioły" mówią również o armii podziemnej i metodach walki, które znów dopiero dzisiaj poznała Europa. Wówczas w Hiszpanii, dzisiaj w Polsce, Rosji, Jugosławii. Psychologia partyzantki, psychologia jej tępicieli wciąganych w coraz bezwzględniejsze okrucieństwo, ów inkwizytor Gajkoś, czy cyniczny a szanujący przeciwnika Wyganowski, rozbieżność reakcji ludzkich od ostatecznej podłości do równie ostatecznego bohaterstwa — znamy, znamy. A to tylko trzeci tom „Popiołów".

Klasyków należy czytać skrupulatnie we wszystkich szczegółach. Kott stwierdził np., że K.W. Zawodziński niesłusznie posądza Prusa o zupełną utopijność naukową, gdy każe on Geistowi pracować nad metalami lżejszymi od powietrza. Bo w tekście Prusa są to metale lżejsze od wody, a te przecież należą do codziennych zjawisk naszej doby.

Nie inaczej w „Popiołach". Skala potworności, wydobytych ze źródeł historycznych przez Żeromskiego, obejmuje sprawy zdawałoby się zastrzeżone dla drugiej wojny światowej. W opowiadaniu Ojrzyńskiego o walkach na San-Domingo napotykamy temat opowiadania J. J. Szczepańskiego „Buty". Przypominam dyskusję o tym opowiadaniu stoczoną przed dwoma miesiącami.

Oto relacja Ojrzyńskiego. „Jeden batalion tych Murzynów, czterystu chłopa jak heban, nie zdążył udać się w pochód za Dessalinem. Ledwie na doświtku dnia spostrzeżona została zdrada tamtego. Jeden jedyny nasz batalion polski Bolesty nie był w stanie utrzymać w karbach i zmusić do boju kilkuset tęgich a uzbrojonych Murzynów. Co z nimi robić? Puścić na wolność, to powiększą armię wroga, więc za sobą, to zdradzą w najgorszej chwili. Generał Fressinet, nasz nowy dowódca, Francuz rodowity, rozkazał czarnym wystąpić do apelu, jak co dnia. Zwyczaj wojskowy każe stawać do apelu bez broni. Skoro na plac wyszli, nasz batalion z rozkazu Bolesty **otoczył ich** *ze czterech stron. Generał Fressinet wyszedł. Dał znak. Murzyni nie spodziewali się nawet. Chwycili my za broń i wykłuli my bagnetami bezbronnych, wszystkich czterystu, co do nogi. Nie upłynęło pół godziny, już ani jeden nie zipał".*

J. J. Szczepański i J. Turowicz nie znali zapewne tego fragmentu broniąc „Butów". Byłbym pognębiony. Jako honorowi przeciwnicy nic posłużą się nim chyba, kiedy go sam podsuwam, ale raczej zamyślą się wspólnie nad pożytkami lektury klasyków. A ty, młodzieńcze, z Jędrzejowa, Raciborza i Chełmna również

kjw

DOPISEK W CZASIE KOREKTY

W kilka dni po napisaniu uwag o „Popiołach" otrzymuję najnowszy numer „Tygodnika Powszechnego" (nr. 111), a w nim artykuł Marii Jarczyńskiej „Popioły i maki". Jarczyńska dostrzega słusznie te same analogie w przedstawieniu epoki napoleońskiej, nad jakimi radzę się zastanowić młodemu krytykowi. Trudno o lepszy dowód, że klasyków naprawdę warto czytać i że każdy uważny czytelnik dojdzie do podobnie brzmiących wniosków.

Ale nie ze wszystkim można się zgodzić, co Jarczyńska napisała w obronie Żeromskiego. Chociażby to zdanie: „U Żeromskiego właściwie nie ma psychologii. Jego ludzie nie zmieniają się". Święta prawda. „Po Prouście i Joyce'ie wydaje się to prymitywizmem". Czy tylko po Prouście i Joyce'ie? Przed nimi również. U każdego rasowego powieściopisarza jest prymitywizmem.

Sprawa zgodności pomiędzy tezami Jarczyńskiej a umieszczonym wewnątrz numeru artykułem Ksawerego Pruszyńskiego „Na Monte Cassino" nie wchodzi już w kompetencje „Szkoły krytyków".

Życie muzyczne w Krakowie

Ostatnie tygodnie w Krakowie były pod znakiem uroczystości ku czci Karola Szymanowskiego. Imprezy muzyczne rozpoczęła uroczysta akademia w dniu 29 marca, na której przemawiał Jarosław Iwaszkiewicz, a Zbigniew Drzewiecki, Irena Lewińska i Stanisław Tauros wykonali szereg utworów solowych. Usłyszeliśmy dawno nie śpiewane „Pieśni Muezzina Szalonego" do tekstów Iwaszkiewicza i „Słopiewnie" do słów Tuwima, dwa najbardziej charakterystyczne cykle pieśniarskie w twórczości Szymanowskiego. Lewińska wykonała te pieśni bardzo pięknie pod względem dźwiękowym, głosem równym, opanowanym, wspaniale wyszkolonym. Nie udało się jej tylko wydobyć w całej pełni przedziwnego nastroju „Pieśni Muezzina", przesyconego żarem namiętności. Drzewiecki wydobył z „Masek" („Szeherezada", „Tantrys Błazen", „Serenada Don Juana") wyrafinowaną subtelność treści muzycznej i kolorystyki dźwiękowej, wszystkie przebogate komplikacje faktury muzycznej, najbardziej złożonej, jaką zna muzyka Szymanowskiego. Jakże pożądany kontrast stanowiła po „Maskach" pieśń Roxany z „Króla Rogera", zagrana przez Taurosa, ze skupieniem, i ekspresją! A po niej orgia rytmów ludowych w tańcu z „Harnasiów".

26 kwietnia odbył się pierwszy koncert symfoniczny poświęcony Szymanowskiemu pod dyrekcją Zygmunta Latoszewskiego, z udziałem Drzewieckiego, Umińskiej i Wejsisa, oraz chóru Filharmonii Krakowskiej. W programie: „Harnasie", „Symphonie Concertante" na fortepian z orkiestrą i II Koncert skrzypcowy. Koncepcja „Harnasiów" Latoszewskiego bardzo ciekawa i oryginalna: podkreślenie momentu ludowego w całym jego prymitywizmie, chwilami aż do brutalności, ale niewątpliwie w zgodzie z charakterem utworu. Drzewiecki wydobył wszystkie odcienie liryzmu i potężne kontrasty rytmiczne części ostatniej, tak znamienne dla tego utworu; Umińska dała interpretację II Koncertu skrzypcowego świetną zarówno pod względem muzycznym, jak i technicznym. Jest to niewątpliwie jedna z najbardziej ważkich pozycji w tegorocznym sezonie Filharmonii Krakowskiej.

Wreszcie i w akcji upowszechnienia muzyki doczekał się Szymanowski, że sztuka jego przemówiła do najszerszych warstw słuchaczy na audycji z udziałem St. Łobaczewskiej, J. Szamotulskiej, E. Umińskiej i I. Wiskidy. Stało się to dzięki inicjatywie Państwowej Szkoły Umuzykalnenia. Miło jest stwierdzić, że wszystkie wymienione imprezy odbyły się przy szczelnie wypełnionej sali.

Drugą ważną pozycją na koncie Filharmonii Krakowskiej są koncerty poświęcone młodym talentom; inicjatywa ze wszech miar pożądana, ze względów pedagogicznych i społecznych niezwykle ważna. Dotychczas odbyły się dwa takie koncerty. W pierwszym wystąpił student Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi z klasy prof. Wiłkomirskiego, K. Krenc, dając się poznać jako pierwszorzędny talent kapelmistrzowski i dobrze się zapowiadający kompozytor, oraz student Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie z klasy prof. Sztompki, Regina Smendzianka, niezwykle utalentowana pianistka, rokująca duże nadzieje na przyszłość. W drugim koncercie wystąpili pianiści Bytnar i Jeżewski, pierwszy — choć niewątpliwie zdolny, stanowczo w obecnej chwili nie dojrzały jeszcze do występów estradowych, drugi o solidnie wyrobionej technice i już pewnej samodzielności artystycznej. Młoda śpiewaczka, I. Jęsiakówna, ma dobre zadatki na artystkę estradową, muzykalność i inteligencję, wszystko jednak zależy od tego, jak rozwinie się w przyszłości sam materiał głosowy, na razie bardzo nikły i delikatny.

Stefania Łobaczewska

O uzupełnienie zbiorów Biblioteki Narodowej

W prasie stołecznej pojawiła się wiadomość, iż wkrótce, obok dalszych transportów Ossolineum, przekazana zostanie Rządowi R.P. również Biblioteka Baworowskich, zawierająca cenny zbiór rękopisów, inkunabułów i starych druków. Wieść ta w sferach naukowych Warszawy wzbudziła żywe i zupełnie zrozumiałe zainteresowanie.

Lwowskie Ossolineum zostało, jak wiadomo, przeznaczone dla Wrocławia. Lwowianie, skupieni w tym staropolskim grodzie, otrzymują oto do dyspozycji wrocławskiej nauki wspaniałe dzieło Ossolińskiego, otoczone pietyzmem i przywiązaniem całego naszego społeczeństwa.

A Biblioteka Baworowskich? Powstaje zagadnienie, dokąd ją przenieść. Sądzę, że na tę sprawę trzeba spojrzeć z punktu widzenia ogólnopolskiej polityki bibliotecznej. Te zaś względy ogólniejszej natury przemawiają za tym, by *zbiory Baworowskich* skierować do Warszawy i *przekazać Bibliotece Narodowej*. Uzasadnienie tej myśli żadnych nie nastręcza trudności.

Wszyscy wiemy dobrze, jak straszliwe straty w dziedzinie dóbr kulturalnych poniosła Warszawa. Ogromne, bezcennej wartości zbiory biblioteczne i archiwalne uległy zniszczeniu. Niepowetowane szkody poniosła Biblioteka Narodowa przez utratę zbiorów specjalnych (zwłaszcza rękopisów i starych druków, kartografii i grafiki), które padły ofiarą pożaru, podłożonego zbrodniczą ręką okupanta po powstaniu warszawskim. A już przedtem, we wrześniu r. 1939, ofiarą bombardowania padł księgozbiór rapperswilski, który obejmował pamiątki i dokumenty naszych walk niepodległościowych. Jeśli się nadto weźmie pod uwagę zniszczenia zasobów innych bibliotek warszawskich (Publicznej, Krasińskich, Zamoyskich, Przeździeckich) i niesłychanie bogatych zbiorów archiwalnych, trzeba wyprowadzić bolesny i niepokojący wniosek, że Warszawa została prawie doszczętnie ogołocona z materiałów źródłowych. Tak samo wszelkie zbiory druków nowszych zostały bardzo ciężko poszkodowane. Wskutek tych strat źródłowe badania historyczne i literackie, pozbawione podstawowych materiałów, zagrożone są wyjałowieniem. Aby temu zaradzić, trzeba koniecznie starać się o racjonalną odbudowę zasadniczej substancji bibliotecznej księgozbiorów stołecznych.

Otóż poważny i bardzo cenny zasób materiałów rękopiśmiennych i ksiąg drukowanych (starych i nowszych), zbiór wielu rzadkości bibliograficznych znajduje się w Bibliotece Baworowskich. Przekazanie zbiorów Baworowskich Bibliotece Narodowej zaleczyłoby w znacznej części ciężkie rany, zadane jej przez wojnę, przyczyniłoby się znakomicie do uzupełnienia i pomnożenia uszczuplonych zasobów, do odbudowy jej warsztatu pracy naukowej.

Sytuacja Biblioteki Narodowej i jej istotne potrzeby spotkały się ze zrozumieniem ze strony zainteresowanych czynników lwowskich. Oto dr Karol Maleczyński, lwowianin, a obecnie profesor uniwersytetu wrocławskiego, w artykule pt.: „O mądry rozdział zbiorów" („Odra", 1946, nr 24), rezerwując Ossolineum dla Wrocławia, doradza, ażeby Bibliotece Narodowej przekazać zbiory Baworowskich i Dzieduszyckich. Biblioteka Narodowa zwróciła się już z odpowiednimi wnioskami do Ministerstwa Oświaty, a liczy także na poparcie swej akcji ze strony warszawskich czynników naukowych.

Legitymacja stolicy państwa jest w tym względzie bardzo mocna. Albowiem, mimo potwornego zniszczenia, Warszawa wydobywa z siebie potężne dynamiczne siły do wszechstronnego rozwoju i odrodzenia. W dziedzinie kulturalnej świadczy o tym wymownie stały na gruncie warszawskim wzrost piśmiennictwa we wszystkich niemal dziedzinach pracy intelektualnej. Cyfry statystyczne mówią o tym najwyraźniej. Jednym z najważniejszych czynników, które kształtować będą przyszłe życie naukowe stolicy, jest obiektywna, racjonalna, świadoma swoich celów ogólnopolska polityka biblioteczna w zakresie uzupełnienia księgozbiorów naukowych miasta, a przede wszystkim zbiorów Biblioteki Narodowej. A właśnie nadarza się okazja, by sprawę tę załatwić pomyślnie, zgodnie zarówno z żywotnym interesem Biblioteki, jak też z ogólnym planem regeneracji życia duchowego i naukowego stolicy. Warszawa po swej epopei wojennej pragnie stać się znowu żywym ogniskiem kultury i nauki.

Jeżeli można, trzeba jej w tym pomóc jak najwydatniej.

Stefan Wierczyński

Korespondencja

KRYTYK I PARASOLKA

Do redaktora „Odrodzenia"

Krytyk z „Gazety Ludowej", dbający bardzo o styl i docinki, zarzucił mi, że „pałam nienawiścią do ułanów", jako do „przedstawicieli rozgromionej reakcji". Chcę wyjaśnić, że nie pałam. Podczas kampanii wrześniowej wypadło mnie samemu być kawalerzystą, gdy rozbity szwadron pozostawił piechurom konie bez jeźdźców. Pisząc o romantyzmie bez ostróg, miałem na myśli przemiany, jakie dokonały się podczas wojny w naszym wojsku. Ułani bowiem zdjęli ostrogi i wsiedli do czołgów, prowadząc Cromwelle w Normandii i T 34 nad Nysą. Brygady kawalerii przemieniły się w brygady pancerne, obierając sobie za patronkę dawną husarię pancerną. Romantyzm nic na tym nie stracił, a synowie bili się jeszcze dzielniej od ojców. Umierali przy tym bez drażniącej pozy, w jakiej przedstawiano żołnierzy w dawnych obrazach i rzeźbach. Piszę o tym powtórnie, aby pan (dz) nie posądzał mnie o niechęć do ułanów i amarantów i zrozumiał, co miałem na myśli. Zwracam jeszcze również uwagę, że w artykule „Bitwa o Berlin" nie napisałem ani razu słowa reakcja, którego nie używam, gdyż nie brzmi dobrze po polsku. Wolę słowo „kołtun", bardziej pasujące do ciemnych umysłów.

Pan (dz) daje mi do zrozumienia, że myślę przenośniami. Pisze bowiem:

„Zgadzam się, że Piłsudski przeceniał jazdę, lecz nie doceniał broni pancernej. Nigdy jednak nie słyszałem, że rozpędzał pułki pancerne (o czym pisałem — uwaga moja). To chyba jakaś przenośnia!!"

Nie wiem, czy pułk. Horak, założyciel Batalionów Chłopskich i oficer sztabu generalnego armii przedwrześniowej, miał na myśli przenośnię, pisząc o Piłsudskim. Pan (dz) powinien zapoznać się z zieloną książeczką o Rydzu-Śmigłym, wydaną przez jego własne stronnictwo, którą czytałem jeszcze w podziemiu. Pułk. Horak pisze w niej:

„Marsz. Piłsudski zostawił Rydzowi armię przestarzałą i u góry niechętną wszelkim zmianom. Niechęć ta opierała się na wytycznych marsz. Piłsudskiego, **który sam nie dopuszczał do powiększenia lotnictwa**, konserwował przestarzałe bataliony balonowe, **zlikwidował utworzone bez jego pozwolenia pułki pancerne**, rozpędził tworzący się korpus fortyfikatorów, sprzeciwił się motoryzacji kawalerii". Dodam, że tak było z 3 pułkiem pancernym w Brześciu. Nie trzeba więc stawiać dwóch wykrzykników tam, gdzie powinien być jeden skromny znak zapytania. Polecam jeszcze raz panu (dz) zapoznać się z tą mądrą książeczką.

Uwagi o mym nazwisku, sentymentach i samopoczuciu przyjmuję na razie jako żart, jak również wszelkie pouczania mnie o tym, jaka jest polska natura. Cudzoziemcem nie jestem. Uważam, że dopóki służę w wojsku, pan (dz) nie potrzebuje mnie przekonywać o dzielności armii, dawnej czy nowej. Znam ją dobrze z walk wrześniowych, podziemnych i z walk 2 armii. Dlatego zakończyłem artykuł słowami: „...Polacy wciąż jeszcze należą do najlepszych żołnierzy świata". Pan (dz), gdyby wczytał się uważnie w artykuł, a nie w słowa, zrozumiałby, co było moją troską, gdy pisałem o walkach naszych żołnierzy nad Nysą.

P. S. Z uwag o dobrym stylu, jakich mi pan (dz) udziela, korzystam. Wezmę wzór z tomu nowel pod tytułem „Kłopoty starszego pana".

„Zacząłem pożądać pani, jak Lucyfer pożądał światła prawdy... Zapytałem wtedy, czy mąż jest w domu, a pani drżąca odpowiedziała, że właśnie dziś wyjechał. Rozumieliśmy się na pozór doskonale. Wszedłem na górę i zaraz w przedpokoju chwyciłem panią w swoje objęcia. Posiadłem panią, nie pozwalając jej zdjąć palta — w kapeluszu na głowie i z parasolką pod pachą. Natychmiast po tym uciekłem" (str. 33).

Prawda, co za powabny styl i opis parasolki pod pachą?...

Piotr Borowy (W-wa)

Nowa sztuka Morstina

O repertuarze, który prezentuje dyrektor sceny katowickiej Dąbrowski, pisano już niejednokrotnie; że ma same dobre nazwiska i dobre pozycje. Rzeczywiście — jest Wyspiański, Fredro, Bałucki, Bliziński, Perzyński, Sofokles, Musset, Gogol, Shaw, Anouilh...

Ale „nie chwalmy go tylko, bądźmy także jego przyjaciółmi", jak powiedział kiedyś Peiper o pewnym dyrektorze teatru.

Jedno bowiem trzeba zarzucić repertuarowi Teatru Śląskiego: jest zbyt ostrożny. Rozumiem, że Dąbrowski bał się ryzyka w zeszłym sezonie, kiedy musiał walczyć z olbrzymimi trudnościami. Wtedy grywał same „pewniaki", wystawił nawet parę podejrzanych komedyj muzycznych i dał tylko jedną prapremierę polskiego autora („Stary dzwon" Brzozy).

Ale teraz jest inaczej. Któż ma ryzykować, jak nie teatr państwowy, pozbawiony kłopotów finansowych? Właśnie teatr państwowy powinien odkrywać nowe talenty i grać nowe polskie sztuki. A nawet, jeżeli jedna czy druga padnie, to teatr się nie zawali i nie zbankrutuje, natomiast autor ujrzy swój utwór na scenie, pozna jego błędy i wyciągnie stąd naukę na przyszłość. Nie wyobrażam sobie Dąbrowskiego, tego doskonałego artysty i organizatora, w roli kierownika na przykład teatru w Krakowie, który miał zawsze, od dziesięcioleci, repertuar odkrywczy i walczący. Obejdzie się bez wyliczania wielkich nazwisk. Ale należy podkreślić, że po wojnie Stary Teatr podjął tę walkę o współczesny dramat polski na nowo. Pierwszy sezon otworzył Jerzy Ronard-Bujański nową polską sztuką; w ubiegłym sezonie dał Andrzej Pronaszko cztery prapremiery polskie pod rząd. W bieżącym sezonie Stary Teatr usiłuje kontynuować tę tradycję, chociaż nie zawsze z powodzeniem.

Tymczasem Państwowy Teatr Śląski dopiero teraz wystąpił ze swoją pierwszą prapremierą, z komedią współczesną Ludwika Hieronima Morstina pt. „Taniec księżniczki".

Morstin doskonale czuje się w antyku. Co prawda napisał tylko trzy dramaty, związane z nim tematycznie: „Panteję", „Obronę Ksantypy" i „Penelopę". Ale także na wielu innych jego utworach zaciążył antyk, szczególnie na ich formie — przecież nawet poczciwy **deus ex machina** pojawia się tam niejednokrotnie, w „Szlakiem legionów", w „Legendzie o królu", w „Rzeczpospolitej poetów".

Gdy Morstin natomiast porusza tematykę współczesną, zawsze się spóźnia. Zaczyna się orientować w prądach współczesnych, kiedy one już przestały być „współczesne", i wywala drzwi otwarte od dawna, jak na przykład w „Dzikiej pszczółce".

Tym razem pośpieszył się. Chciał dać komedię dnia dzisiejszego. I nie wyszło to komedii na dobre. Jest w „Tańcu księżniczki" wprawdzie słownik dzisiejszy, jest „szaber", jest dużo deklamacji o nowej rzeczywistości, o ziemiach zachodnich, o pionierstwie. Ale ten słownik przyczepiony sztucznie do utworu trącącego myszką, daremnie stara się go odmłodzić. Artyści, występujący w „Tańcu księżniczki", tkwią jeszcze głęboko w Młodej Polsce, a co najbardziej niepokoi, to stosunek autora do nich: protekcyjny i łaskawie tolerujący... stosunek salonu krakowskiego z czasów secesji.

Budowa komedii jest niefrasobliwa. Akcja rozgrywa się w pokoju, który służy za pracownię, jadalnię i bawialnię. Postacie wchodzą i wychodzą, jak im przypadnie; nawet listonosz pcha się tam bez ceremonii, zresztą by odegrać scenę najbardziej żenującą w całym utworze, scenę, w której symbolem sztuki i poezji jest kiczowaty kostium księżniczki wschodniej, jak gdyby wypożyczony z kabaretu nocnego trzeciej kategorii.

Ratują trochę sytuację suto rozmieszczone dowcipy i błyskotliwe paradoksy, oraz mądre sentencje i maksymy, godne Rochefoucaulda. One nadają sztuce pozory głębi, chociaż w gruncie rzeczy są to szlachetne kamienie w tombakowej oprawie.

Reżyseria chciała nadać komedii ton lekki i zawrotne tempo. Skutek był ten, że na scenie galopowała cyrkowa farsa à la „Ciotka Karola", aktorzy popychali się, szarpali i klepali po tyłkach. Refleksyjny finał wydawał się po tym wszystkim sztuczny i jakby przeniesiony z innej sztuki.

...I jeszcze o jednym muszę wspomnieć. Na pewno nie należę do stronnictwa Świrszczyńskiej i Natansona. Ale nie lubię, gdy aktor wchodzi na scenę w stanie nietrzeźwym. A byliśmy świadkami przedstawienia, w którym najlepszy artysta sceny katowickiej, silnie zagazowany, kładł rolę i mówił słowa zupełnie inne niż te, jakie mu sufler trąbił na cały głos. Rola co prawda nie jest nadzwyczajna, ale znowu nie taka straszna, by trzeba się było aż zalewać z rozpaczy...

Artur M. Swinarski

W poprzednim 19 (128) numerze „Odrodzenia" z dnia 11 maja 1947 r.: **Mieczysław Jastrun:** Jeżeli jeszcze kiedyś. Elegia rzeczy przyszłych. — **Piotr Borowy:** Pułki polskie w Berlinie. — **Julian Przyboś:** Wspomnienie. — **Jan M. Nowak:** Życie w USA. Od specjalnego wysłannika „Odrodzenia". — **Stanisław Helsztyński:** Stephen Vincent Benét. — **Tadeusz Breza:** Notatnik szwajcarski: Szarańcza. — **Maria Kuncewiczowa** (rysunki **Marka Żuławskiego**): Kanapowe kraje. — **Jerzy Andrzejewski:** Zaraz po wojnie. Powieść (15). — **Julian Przyboś:** Nowinka. — **a. wat:** Hiroshima. — **H. E. Michalski:** Schemat powieści psychologicznej. — **K. I. Gałczyński** (rysunki **Czesława Rzepińskiego**). Plac Merkurego (widowisko poetyckie w dziesięciu częściach z epilogiem). — **Henryk Markiewicz:** Jeszcze o języku krytycznym. — **Stefan Papée:** Wśród wydawnictw. — Tydzień bibliograficzny. — **Jacek Frühling:** Chaplin przemówił. — Jeszcze na temat realizmu. — **Nemo:** Plotki, plotki... — **Król Herod:** Rubryka nr 47. — Camera obscura. — 22 ilustracje. — 12 stron.

TYDZIEŃ BIBLIOGBAFICZNY

LITERATURA

J. I. Kraszewski. Historia o Janaszu Korczaku i pięknej miecznikównie. Powieść. Tekst według wydania z 1879 r. Łódź, Władysław Bąk, 1947; tom I. str. 195 i nl. Tom II. str. 188 i 8 nl.

Władysław Strzelecki (Maciej Piołun). Pieśni niepodległe. Okładkę projektował **Tadeusz Zawadzki.** Łęczyca, Zarząd Powiatowy Stronnictwa Ludowego, 1947; str. 34 i 2 nl.

EKONOMIKA

Adam Rapacki. My sami w nowej gospodarce. Łódź, Związek Gospodarczy Spółdzielni R. P., 1947; str. 46 i 2 nl.

DZIEŁA TREŚCI OGÓLNEJ

Kalendarz rolniczy na rok 1947. Łódź, Związek Gospodarczy Spółdzielni 1947; str. 347 i 7 nl.

Sprawozdanie z działalności Społem za rok 1946 Łódź, Związek Gospodarczy Spółdzielni R. P., 1947; str. 150 i 2 nl.

FILOZOFIA, LOGIKA, PSYCHOLOGIA

Biblioteka Pedagogiczno-Dydaktyczna. Nr. 16. **Stefan Baley.** Psychologia wychowawcza w zarysie. Z 19 rycinami. Wydanie drugie nie zmienione. Wrocław, Książnica-Atlas, 1947; str. 686 i 2 nl. — zł 1.200.

PODRĘCZNIKI SZKOLNE

Jan Cieśliński i Leon Koźmiński. La France au travail. Agriculture. Industrie. Commerce. Troisième édition revue et augmentée. Wrocław, Książnica-Atlas, 1947; str. 227 i 1 nl.

S. Czerny i F. Jungman. Bon sourire et en avant. Deuxième livre de français, dla 9-tej klasy szkoły podstawowej. Deuxième édition remaniée d'après les nouveaux programmes. Ilustracje wykonała **Janina Petry-Przybyłowska.** Wrocław Książnica-Atlas, 1946; str. 152 i 4 nl.

St. Malec i W. Werner. Fizyka dla II klasy gimnazjalnej (dawniej III). Wydanie trzecie. Wrocław, Książnica-Atlas, 1947; str. 193 i 3 nl.

NAGRODY MIASTA POZNANIA



ZDZISŁAW KĘPIŃSKI
kustosz i wicedyrektor Muzeum Wielkopolskiego otrzymał nagrodę za badania nad katedrą gotycką w Poznaniu



WACŁAW KUBACKI
docent Uniwersytetu Poznańskiego został nagrodzony za działalność literacką



fot. R. Burzyński

STANISŁAW SZCZEPAŃSKI
profesor Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Poznaniu otrzymał nagrodę za dotychczasową działalność artystyczną

ROBOTNICZY PRZEGLĄD GOSPODARCZY

Ukazał się numer 4 — 1947 r. poświęcony zagadnieniom Rad Zakładowych.

Na 1 Maja

TREŚĆ:
- **K. Witaszewski** — Znaczenie wyborów.
- **W. Sokorski** — Społeczna funkcja rad zakładowych
- **J. Kofman** — Klasa robotnicza współgospodarzem kraju
- **J. Licki** — Prawo o radach zakładowych
- **I. Epsztein** — Ordynacja wyborcza rad zakładowych
- **Z. Gross** — Geneza rad zakładowych
- **G. Bolesławski** — U nas i gdzie indziej
- **J. Mar** — Akcja kulturalno-oświatowa w zakładach pracy
- **W. Kuszyk** — Kryzys węglowy
- **S. Nachlik** — Diagnoza demograficzna

Przeglądy

Na froncie odbudowy: S. Wyrobisz — Odbudowa Warszawy jako problem gospodarczy. — Nowe książki: Józef Feldman: „Problem polsko-niemiecki w dziejach". Ruch związkowy w Polsce: Współpraca związków zawodowych z ruchem spółdzielczym. Kilka uwag o pierwszym konkursie muzycznym KCZZ. Z życia związków zawodowych. — Światowy ruch związkowy: Bułgarski ruch zawodowy Kronika. — Przegląd Gospodarczy: Przedwiośnie 1947 r. Drugi rok radzieckiej pięciolatki powojennej. Walka wokół nacjonalizacji przemysłu w Anglii. — Nowe wydawnictwa. — Fakty i dokumenty.

Cena zł. 30.—

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Al. Przyjaciół 9. P.K.O. Nr. I-1055 Warszawa. K. 156-1

„HISTORIA ŚWIATA"



W. Biegański jako Juliusz Cezar



„Potop": Noe z synami

Marian Eile i Jan Kamyczek wystawili w krakowskim teatrzyku „Siedem kotów" rewię pt. „Historia świata". 31 skeczów scenicznych ilustruje w błyskawicznym tempie dzieje naszego globu od małpy do bomby atomowej i ONZ.

Koncepcyjnie przedstawienie jest nie tylko udało, ale wręcz znakomite. Istotne pointy humoru i satyry dostrzeże jednak tylko widz, zorientowany w historii powszechnej. Dla reszty pozostanie bogaty bukiet dowcipów aktualnych, obyczajowych i politycznych. Tak wielka liczba scen oraz stosunkowo szczupłe grono autorów (tylko para!) sprawiły, że obok obrazów doskonałych zarówno pod względem treści scenicznej jak ideowej (Egipt, Neron, Walki o Inwestyturę, Odkrycie Ameryki, Wojna Północna z Południem, czy Niemcy 1871, 1914, 1939) — są obrazy tylko zabawne (Założenie Rzymu, Wojna Stuletnia, Henryk VIII Angielski) lub wręcz nieciekawe (Sprawa Sokratesa, Odsiecz Wiednia, Kaput czy ONZ).

Z pobieżnego wyliczenia tytułów widać bogactwo i rozmaitość widowiska, które wymagałoby wielu aktorów, i to bardzo dobrych. Niestety, „Siedem Kotów" nie dysponuje należytym zespołem. Z aktorów wysunęli się na pierwsze miejsce doskonały Mrożewski, jako speaker i niemiecki podoficer, Biegański, Ruszkowski i Bielenia. Żeńska część obsady zdecydowanie nie dopisała. Muzyka Andy Kitschman. Szczególną atrakcją przedstawienia były efektowne i ciekawe w koncepcji dekoracje Mariana Eilego oraz kostiumy Jana Kamyczka.

kok

Plotki, plotki . . .

Artur Maria Swinarski, zapytany o największy sukces w swojej karierze literackiej, opowiedział historię swojego debiutu literackiego.

Tomik wierszy nazywał się „Harakiri" i był chyba najostrzejszym „nożem w brzuchu", jaki wbił niebacznej publiczności tzw. futuryzm polski spod znaku Bruno Jasieńskiego. Dość powiedzieć, że jeden z łagodniejszych wierszy nosił tytuł „Venus siphilitica". Swinarski, naówczas student Uniwersytetu Poznańskiego, oddał przezornie cały nakład księgarzowi lwowskiemu, zakazawszy mu kolportażu w Wielkopolsce. W miesiąc po ukazaniu się tomiku Artur Maria otrzymał od księgarza pokaźną sumę z wiadomością, że nakład został w całości wyczerpany. Autor „Harakiri" nie posiadał się z dumy i szczęścia.

Ale w dwa dni potem otrzymał od matki list z gorzkimi wyrzutami, że kala imię rodzinne i naraża na poważne koszty. Okazało się, że matka przeczytała pewną recenzję, w której oburzony krytyk skwalifikował „Harakiri" jako świństwo, kończąc retorycznym pytaniem: „Czegoż zresztą można się spodziewać po człowieku o takim nazwisku!".

To matka Swinarskiego dla ratowania honoru rodu wykupiła cały nakład.

■

Aktor Józef Śliwicki, na starość prezes ZASPu, zasłynął jako zamiłowany mówca pogrzebowy. W krasomówcze przemówienia nad grobem wkładał niewyżytą na scenie pasję aktorską, czyniąc z nich nieoczekiwane improwizacje. Jedną z licznych swoich mów pogrzebowych zakończył w porywie natchnienia takim pożegnaniem:

— Druhu serdeczny, żegnaj i bądź zdrów!

■

kjw, znany autor „Szkoły krytyków", wróciwszy z redakcji do domu, zastaje przy swoim biurku dziewięcioletnią córeczkę, w wielkim ferworze piszącą na ogromnym arkuszu papieru coś niezwykle ważnego.

— Nie przeszkadzaj mi, zamknij drzwi, tworzę opowiadanie!

Na drugi dzień zaintrygowany ojciec prosi małą sawantkę o utwór

— Nie skończyłam, doszłam do wniosku, że głupie...

— Ho, ho, jaki krytyk z ciebie, a byłaś dziś w szkole?

— Byłam, ale nie w twojej.

■

Jaszcz z „Odrą" w ręce do Przybosia:

— Jak ci się podoba ustawiczne czepianie się ciebie tych katowiczan?

— Bardzo. Kto stale odpada, musi się czepiać.

■

Jerzy Lau, Tadeusz Kwiatkowski i Wojciech Żukrowski, przed wojną studenci na U. J., zdawali egzamin z poetyki przed Kazimierzem Wyką, naówczas jeszcze asystentem prof. Kołaczkowskiego.

— A, panowie poeci! Proszę znaleźć rym do „biodrom".

— „Hippodrom" — w mig znalazł Lau.

— A rym do „kanclerz"?

Kwiatkowski jak nakręcony odpowiedział natychmiast dwuwierszem:

„Europo, rzecze kanclerz,
na ostrzu moich lanc leż".

Żukrowski, nie czekając na swoją kolej, sam zadał Wyce pytanie:

— Panie doktorze, a rym do słowa kandelabr?

Milczenie. Egzaminator nie znalazł rymu. Żukrowski zarecytował:

„Oj, mam guza, bo kandelabr
rzuciła na mnie Adela. Brr!!"

Wszyscy trzej poeci zdali celująco.

Bawiąc przejazdem w Krakowie, Adolf Rudnicki był na 150 przedstawieniu „Rozdroża miłości" Zawieyskiego. Obok siedział jakiś jegomość, najwidoczniej z prowincji, który w najbardziej dramatycznych sytuacjach śmiał się jakby do siebie, nie bardzo patrząc na scenę.

Zaciekawiony Rudnicki zagadnął w końcu sąsiada:

— Cóż pan widzi w tej sztuce śmiesznego?

— Bo ja chciałem, żeby to była komedia... — wesoło poskarżył się prowincjał.

■

Dowiadujemy się, że słynna „rewolucyjna" etiuda Szopena ma być przemianowana na „łagodnie rewolucyjną".

■

Ignacy Chrzanowski chętnie powtarzał anegdotę następującej treści:

Pewnego razu, w przystępie dobrego humoru, Sienkiewicz odezwał się do Ferdynanda Hoesicka: — Panie Ferdynandzie! Chce pan, ażebym panu zrobił przyjemność? Opowiem panu, kiedy pierwszy raz się kochałem.

Na to Hoesick:

— Nie, nie. Nie jestem ciekawy. Kiedy pan się naprawdę pierwszy raz kochał, ja dopiero ustalę.

■

Jerzy Putrament, wybitny pisarz i dyplomata, był niedawno gościem na zebraniu pisarzy i działaczy katolickich, gdzie dyskutowano różne modne sprawy. Zabrawszy głos w dyskusji Putrament wygłosił ostrzeżenie, że o ile ludzkość nie zastosuje się do pewnych nieodwracalnych konieczności dziejowych, to ze światem — zakończył swoje przemówienie. — „Pan Bóg jeden wie, co się stanie!" I słusznie. Kiedy wlazłeś między wrony... Jak widać, „l'éducation européenne" naszej młodej dyplomacji nie idzie na marne.

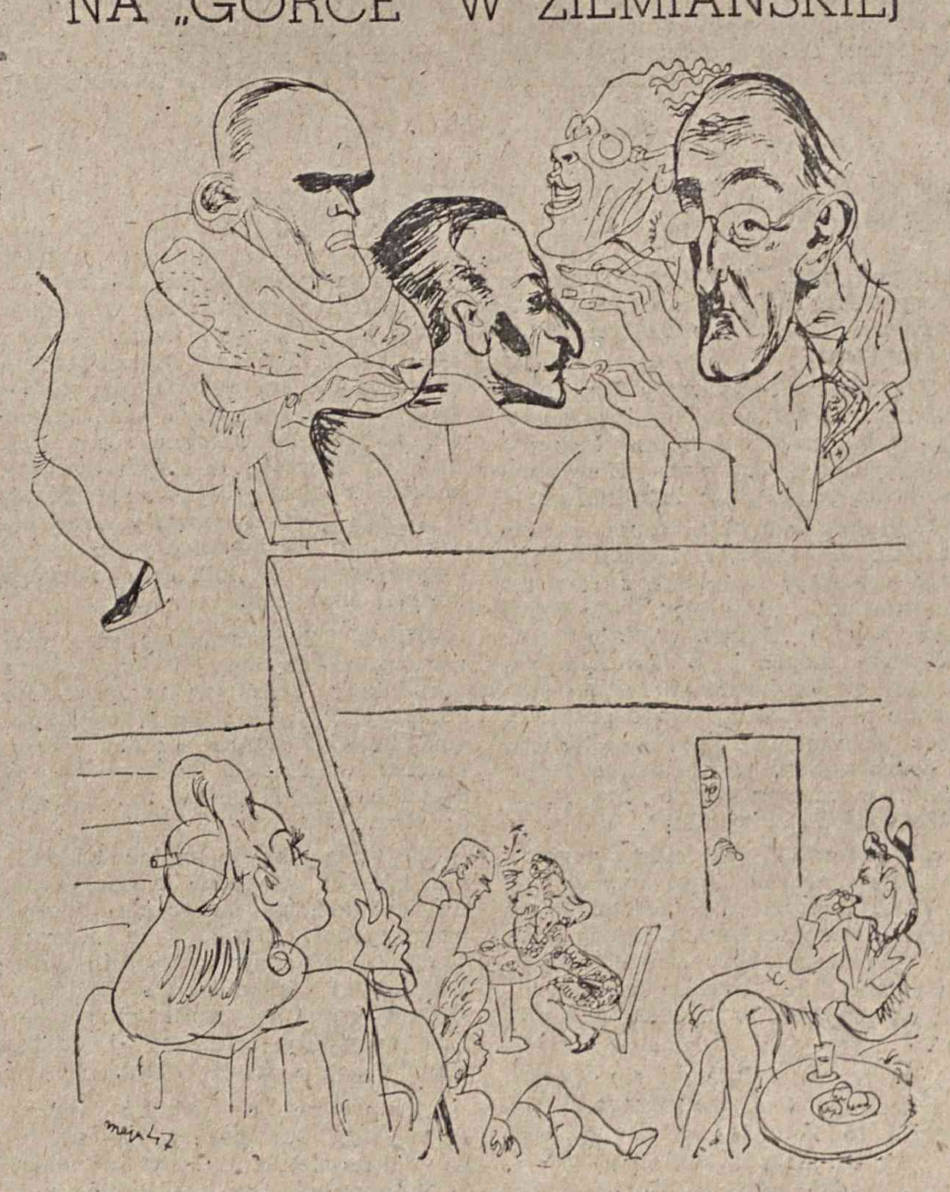
■

W sferach filmowych rozeszła się plotka — niestety, zdaje się prawdziwa — że Polski Film zaangażował do nakręcania filmu „Oświęcim" niemieckich aktorów, a nawet niemieckich reżyserów. Niezgrabiasze z Filmu Polskiego motywują to cienko, psychologicznie: że „łagodność duszy słowiańskiej" że polski aktor nie potrafi odwalać sadysty i brutala, że nie umie przekonywająco walić po mordzie i kopać. Zatem Niemcy za grube polskie pieniądze będą przekonywająco demonstrować bestialstwo duszy niemieckiej, a polski widz za swoje sto złotych będzie miał satysfakcję, że znowu zobaczy, jak autentyczni Niemcy biją i kopią przekonywająco autentycznych Polaków.

Należy się obawiać, że psychologizujący naiwniacy z Filmu zawiodą się okrutnie, że wcale nie łagodnie, ale owszem owszem, brutalnie i z sadyzmem, wygwiżdżemy niefortunnych spitzfinderów.

Nemo

NA „GÓRCE" W ZIEMIAŃSKIEJ



Większą atrakcją niż pączki ze złotą monetą, był swego czasu w Ziemiańskiej nasz młody wówczas Parnas „na górce".

Perwersyjny Iwaszkiewicz, namiętny Wierzyński, niedbały, w obłokach tonący Lechoń, wytworny Tuwim z myszką, o, jakże postacie tych wschodzących gwiazd naszej literatury imponowały paniom i panienkom!

— My, kobiety, odczuwamy gwałtowną potrzebe wskrzeszenia takiej nowej „górki" w Warszawie. **Maja Berezowska**

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 14,** dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.,** którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

CZWARTY WYMIAR

W „Migawkach paryskich" („Odra" z 6.IV) czytamy:

Tworzenie piękna w głąb, wszerz i wzwyż, i wciąganie społeczeństwa w to piękno, to zadanie artysty.

Uprasza się również o wzdłuż.

NA FALACH OCEANU

„Dziennik Polski" zamieścił wzmiankę pt. „Batory" zawinie do Gdyni 4 maja". Treść wzmianki, którą przedrukowujemy w integralnej całości, jest raczej niepokojąca.

Warszawa, 20 kwietnia (A. Cz.). W związku z powrotem do kraju i rozpoczęciem normalnej komunikacji pasażerskiej z udziałem Prezydenta RP, marszałka i wicemarszałków Sejmu, członków rządu, korpusu dyplomatycznego oraz przedstawicieli społeczeństwa.

Jest to, jak widać, pierwsza część jakiegoś urwanego w połowie zdania. Niemniej jednak jesteśmy żywo zaniepokojeni składem załogi „Batorego". Co się stało?

STR. 12 i STR. 13

„Film" (nr. 16, str. 12) zarzuca „Nowinom Literackim", że w nich *źle przełożono tytuł radzieckiego filmu „Pieśń o Waregu" na „Pieśń krążownika Wareg"... Nic wielkiego ale niepotrzebne i psujące zaufanie do informacji.*

Ten sam „Film" w tym samym numerze na str. 13 pisze:

Dodatnią ocenę krytyki otrzymał nowy film reż. W. Ejsmonta pt. „Krążownik Wareg".

Nic wielkiego, ale itd.

TYTUŁ

Czytamy w „Woli Ludu" (nr. 91), że

W olsztyńskiej wylęgarni kurcząt znajduje się 5 inkubatorów, z których jeden pomieścić może 6 tysięcy jaj. Po uruchomieniu wszystkich inkubatorów jednorazowa ich pojemność wyniesie 40 tysięcy jaj. Proces wylęgu kurcząt trwa 2 dni.

Tytuł tej wzmianki:

Świadome macierzyństwo

Kura te ipsum jak mówili rzymianie.

WYŻSZA MATEMATYKA

Z „Kuźnicy" (nr. 16):

W grupie 100 słuchaczy na pewnym wydziale politechniki łódzkiej na 40 dobrych ocen z trygonometrii studenci chłopi i robotnicy otrzymują 10, chociaż w ogólnej liczbie słuchaczy stanowią 20%.

10 : 40 = 1 : 4 = 2 : 8 = 3 : 12 = 4 : 16 = 25 : 100 = 25%. A że 25% = 25%, więc wszystko jest w najlepszym porządeczku.

Z „Życia Warszawy" (nr. 107):

Tekstylia po cenach od 50 do 200 procent niższych niż obecnie pobierane w sklepach prywatnych — sprzedawane będą w 30 warszawskich sklepach spółdzielczych.

200% — 100% = + 100%; 100% — 200% = — 100%; 100% — 100% = 0%; 0% — 0% = ± 00%

— czyli stawać w ogonkach do spółdzielni, obywatele Złoty interes!

HOKUS POKUS HURTEM I DETALICZNIE, ZA POBRANIEM LUB PO WPŁACENIU

Przysłano nam ulotkę, wydaną przez firmę(!) „Wiara". Firma „Wiara" działa i prosperuje w Polsce w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym, aczkolwiek treść tego druczku zalatuje raczej rokiem tysiąc czterysta czterdziestym siódmym lub jeszcze wcześniejszym:

Talizman (amulet) jest to przedmiot mający tajemniczą moc przynoszenia szczęścia jego posiadaczowi oraz chronienia go od złego. Takim talizmanem jest dla chrześcijan mała figurka św. Antoniego wraz z responsorium, jaką powinien posiadać i stale nosić przy sobie każdy chrześcijanin bez względu na wiek i płeć (od kolebki do późnej starości), chcący być chroniony od złego, a być otoczony szczęściem.

Kto się w opiekę odda Antoniemu
I stale szczerze będzie ufał Jemu,
Ten nigdy w życiu nie dozna przykrości,
Żyjąc szczęśliwie do późnej starości...
...Szatan ucieka, trądy znikają,
Chorzy obłożnie z łoża powstają,
Słucha Go morze, moc swą zgubioną
Znajdziesz i siły, wolność straconą
etc.

Tegoż typu sztuczki zachwala ogłoszenie w „Tygodniku Warszawskim" (27.IV):

Nabożeństwo Różańcowe, zawierające(...) praktykę pięciu sobót wynagradzających i dwa sposoby odmawiania Różańca. Tajemnice Żywego Różańca — wysyła paczkami za pobraniem lub po wpłaceniu na konto P.K.O. Ks. Dr. etc.

Ob. Alina B., która nam to ogłoszenie przysłała, pisze: „Sądzę, że ciemności egipskie w pudełeczku zamiast „praktyki pięciu sobót wynagradzających" byłyby łatwiejsze do wyprodukowania".

WYBREDNE MIASTO

Otrzymaliśmy marcowy numer „Głosu Szczecina", a w nim następujące wypowiedzi:

O „Pannie Maliczewskiej" Zapolskiej (opinia p. Z. P.):

Słusznie przyrównać można tę sztukę do sądzonej niedawno „Przeprowadzki" (Rostworowskiego). Podobnie duszna, zgniła atmosfera, podobny brud moralny, podobna beznadziejność... Sztuka ta powinna nie tylko zejść ze sceny polskiej, ale wystawienie jej winno być przez Ministerstwo Kultury i Sztuki zabronione. Widz współczesny musi znaleźć w teatrze kształcącą rozrywkę, a nie beznadziejną, pesymistyczną szmirę.

Na ten sam temat głos pewnej szczecińskiej damy (L. W.):

Jestem oburzona do głębi, i jako kobieta i jako widz. Czyż naprawdę nie stać nas na coś lepszego i bardziej moralnego? Czyż oglądając wstrętne sceny, widz nie traci poczucia własnej godności?... Powiedziałabym, że nawet w tym okresie, gdy żyła Zapolska, sztuka jej nie miała usprawiedliwienia... Dosyć już karmić nas „Przeprowadzkami" i „Pannami Maliczewskimi". Chcemy widzieć w przeciwstawieniu do tego bagna moralnego zdrowych psychicznie i fizycznie ludzi... Jest to pogląd wielu mężczyzn i kobiet, którzy chcą, aby sztuka na scenie tryskała życiem (etc.)...

O „Mężu pognębionym" Moliera (głos pana E. G.):

Sztuka ta odznacza się trzema znakomitymi cechami: 1) nie posiada żadnej problematyki, 2) nie ma tam żadnej akcji, 3) brak jakichkolwiek elementów humoru... Niemożliwie nudna piła...

Dzień, w którym przeczytamy w „Głosie Szczecina" recenzję z „Hamleta", zaliczymy do najmilszych w życiu.

RYMY NIANI

I

„NATCHNIENIE ŚWIATA"

Polska jest jak poeta
i za to ją świat wini.
Poeta ma natchnienie.
Forsę inni.

II

MEGALOMANIA

Idąc razu pewnego przez leśny gąszcz,
spytałem chrząszcza, co w całej Polsce słynie:
— Czemu pan się nie odkłania, kolego chrząszcz?
Chrząszcz odpowiedział: — Gdyż brzmię w trzcinie.

III

NA POLSKĄ TWÓRCZOŚĆ SATYRYCZNĄ

Na świętego Grzegorza
płynie atrament do morza

IV

ORA ET LABORA

Módl się i pracuj! rzekł mnich.
Oto najlepszy morał.
Dwa słowa, a ileż w nich!

I modlił się do wieczora.

Klul Chelot

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK — Adres redakcji: Warszawa, Daszyńskiego 14, tel. 86693 — Redaktor przyjmuje od godziny 13 do 14. — Adres administracji: Warszawa, Daszyńskiego 16, pokój nr 16, tel. 85 794. Konto w PKO nr I-4739.
Drukarnia Nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 60 zł., kwartalna 180 zł. B-32401 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"